

# PRZE KRÓJ



„Na lwa srogiego bez obrazy siędziesz” rzekł Kochanowski, choć karuzele w XVI w. jeszcze nie były rozpowszechnione. Dziś należą do popularnych, tanich i przyjemnych środków lokomocji [Patrz reportaż na str. 8—9] Fot. Węglowski

**CZY  
TEL  
NIK**

**E. SZELBURG • ZAREMBINA • I. ERENBURG  
A. SANDAUER • M. PODKOWIŃSKI • K. KOŹNIEWSKI  
S. GRODZIŃSKA • J. MINKIEWICZ • K. I. GAŁCZYŃSKI**

**Nr 123**  
17-23 VIII 1987  
**CENA 25 ZŁ**



tygodnia

A black and white photograph showing a group of soldiers in uniform marching down a street. They are carrying flags and banners, suggesting a parade or a military procession. The street has tram tracks visible on the ground.



A black and white photograph showing a group of people, including children, standing on a train platform. They are positioned next to a train car that has a large, dark, rectangular opening in its side. The scene is outdoors, and the train is on tracks.

A black and white photograph showing a group of people, including children, standing in front of a large, damaged stone building. Debris is scattered on the ground, and a large, dark, irregular shape, possibly a body or a large object, is visible in the foreground.





roga biegnie na Koźle. Droga prowadzi tam, gdzie zbiegają się dwie rzeki: Odra i Kłodnica. Droga kończy się w tej chwili i dla mnie, nad kanałem.

Gładka i nieruchoma jest woda w kanale. Skrzące, ruchliwe fale słońca zalewają kanał. W słońcu pławią się pola płowe, takie jasne, ogrody barwne. W słońcu tonie ciemny stadrzew parku na brzegu kanału.

Jest cisza. A czasem krótki krzyk mew przywianych tchem wielkim z daleka. A co jakiś czas, od strony słuzy, odmierzony regularnie przeciągły gwizd syreny. I oto po gładzim kanale, mewom na wspan, suną szeregiem płaskie barki — węgiel, węgiel, węgiel. Most.

Na moście gromadka młodzieży. Parę dziewcząt, chłopców kilku. Sukienki w deseni: w kratkę, w kwiatki, szary harcerski mundur, harcerska mundur zielony, białe, niebieskie koszule, krawaty czerwieni pod szyją i szyje nagie, wykwitające opalenizną z rozchylnych kolumnierzy. O balustradę mostu obok tezek z książkami, wsparte łokcie i dłonie pomagają patrzeć.

Minęła niepostrzeżenie długa chwila czasu. Statki odpłynęły. Wody w kanale wygładziły ślad po nich. Mewy zakrążyły z piskiem nad wodami. Pikują. Chybają, trafiają zdobyć. Otrząsnęły w powietrze deszcz kropel ze skrzydeł i z dziobów.

Pociągnął wiatr zapachem jaśminu od zarośli. Słowik śpiew ranny kończy. Słowa na moście stały się lotne. Mają świeżość rosy i pogodę nieśmiertelną szesnastej wiosny. Wbrew przeżytym sześciu latom wojny młodzi — są młodzi.

Ich młodość jednak istnieje obok okropności zapadłych w nią. I zło przeplecione jest z nią w desę tragiczny. Zło zniszczyć — dobra nie naruszając, ale, owszem, spowodować jego rozrost i rozkwit — ludzi dojrzałych obowiązek — to względem młodzieży.

Komisja Porozumiewawcza Organizacji Młodzieżowych na gorąco w pierwszych dniach powojennych wystarała się o przydzienie Ośrodka Młodzieżowego tego, co zostało z pałacu renesansowego i stuhetkarowego parku pruskich magnatów przemysłu niemieckiego, książąt Hohenlohen-Oehringen w Ślawieicach pod Koźlem, w województwie Śląsko-Dąbrowskim.

Była zima. Stary park stał w śniegu. W alejach zieleńkami zwalone leżały olbrzymie dęby, lipy, brzozy. Zdrutgotane konary, polamane gałęzie sterczały ze śniegu, nurzały się w błocie. Rozrzucone po parku sześciuściu budynków mieszkalnych, służbowych, gospodarczych — ziało pustką i zniszczeniem. Pałac straszny brakiem drzwi, okien, podłóg, odartymi z obić ścianami. Przygnębiał śladami po obrazach, rzeźbach, kominkach. Po sztabie lotniczym niemieckim, który tu rezydował, zostały tuż u węgłów pałacu ponure bunkry w kształcie betonowych uli. Zostały na trawnikach i w krzewach, ongi ozdobnych, szkielety samochodów i wszelki brud i odpadki. Tu i ówdzie — miny.

Trzeba było młodzieńczej odwagi i dojrzałego, przewidującego spojrzenia w przyszłość, żeby zdecydować: Bierzemy to w ręce.

Zdarzają się tacy zapaleńcy ideow, działacze i zarazem wytrawni wychowawcy.

Na początku mała tu jest ich liczba. Warunki mieszkania i żywienia były przecież ciężkie ponad normalną wytrzymałość ludz-

ką. Lecz znaleźli się tacy wytrzymali. Nie było jeszcze uczniów, gdy już zaczęli zbierać się nauczyciele ze wszystkich stron kraju.

Rychło ściągnęła i młodzież. Różna. Zbyt różna. Tułali się w owym czasie na tych ziemiach młodzi ludzie, dziewczęta i chłopcy, odezwani od własnego społeczeństwa, tacy, których dosięgło okrucieństwo niemieckich więzień, obozów koncentracyjnych, przymusowej, niewolniczej pracy, którzy poniewolnie uczestniczyli w bezładnym rzykanckim wojennym życiu. Niektórzy zasmakowali w nim. Obok nich nieliczne, ale przyciągnęły pośpolite wagabundy — złodziejzki, wykołajone dziewczęta żądne przygód.

Prędko jednak sito sławieckiego życia oddzieliło niepożądany element. Bezapelacyjnie nienadający się do tego życia — odpłynęli, kto został, na tego mogła już liczyć nowa społeczność sławiecka, jak na fundament.

Tu trzeba było — robić! Bez przezeń — dosłownie, zaciskając pas na chudym (z początku) brzuchu, zakasać rękawy i ręce urabiać po łokcie, od rana do nocy, głowiąc się nad tym, aby robota szła jaknaj-sprawniej i wyniki dawała jak najlepsze. A w pierwszym okresie pracy trzeba było własnymi siłami zorganizować nawet zbrojną ochronę ośrodka. To także.

Kogo przyjmowano na uczniów i wychowanków? Młodzież pozbawioną opieki rodzicielskiej.

ryzli (tu jakże trafny jest ten wyraz „stworzyli“) uczniowie: stropy, ścianki, nawet maszyny ściągnięte z różnych miejsc — o to oni zadball. Stary majster promienieje gdy o tym mówi: ta horda wyrostków — to jego synowie.

— W zimie, gdybyście nas byli odwiedzili — uśmiecha się z odrobiną dobrodusznego złośliwości — chuchalibyście w palce: pracowaliśmy przy temperaturze poniżej zera, przy mrozie po prostu.

Tak, już to słyszę tutaj parokrotnie: węgla nie było, wielu rzeczy nie było. I mimo to — takie osiągnięcia. Młodość mierzająca siły na zamiary? Nietylko. Coś więcej, na co trafiamy tu na każdym kroku.

Czas ponagla. Przechodzimy kolejno przez mroczną kuźnię z żarzącym się w głębi ogniskiem, gdzie uczniowie przygotowują surowiec, przez warsztat ślusarski, przez montownię. (Wydział mechaniczny posiada już silnik Diesla, turbina wodna, kompresor, tokarki, obrabarki, skomplikowane aparaty elektrowni i in.).

Chłopcy majstrują zapamiętałe, każdy schylony nad swoim zadaniem.

Zatrzymuję się przy jednym takim, najmłodszym obywatelu, który zatroskanym wzrokiem porównuje rysunek na leżącej przed nim kartce z „arcydziełem“ zgrzytającym mu pod piłnikiem. Na pytanie otrzymuję odpowiedź, że jest to, a raczej będzie, żelazna o-

móg państwowych. Więc myśli się tutaj o stopniowym rozwinięciu własnej produkcji rolniczo-handlowej i przemysłowo-warsztatowej. I zdaje się to być na dobrej już drodze. Warunki terenowe rozwojowi w tym kierunku sprzyjają. Materiał ludzki także daje rękojmię na spełnienie tego rozsądnego zamierzenia.

Tymczasem jeszcze wszystko jest w załazku, jak te kurczęta z inkubatora w kurniku trzęsącym się od pisku małych karmazynów, do którego nie zaniedbujemy zajrzeć.

Ale, okazuje się, że im dłużej kręcimy się między zabudowaniami, tym więcej mamy do zwiedzenia. Nie dziwne to. Młodzieżowy Ośrodek Szkolenia (popularnie: MÖS) w Ślawieicach obejmuje: szkołę powszechną, gimnazjum i liceum ogólnokształcące, szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt, szkołę spółdzielczą, gimnazjum krawieckie, gimnazjum mechaniczne, warsztaty budowlane, warsztaty elektromonterskie, zakład szewski (z jakąś znakomitością podobno w swym rodzaju), zakład krawiecki, magazyny, szereg takich instytucji jak sklep spółdzielczy, piekarnię spółdzielczą, fryzjernię spółdzielczą itp.

Jest to poprostu całe miasteczko. Miasteczko młodzieży. Pełne dynamizmu, nie wolne wyprowadzie od drobnych błędów, mające swe wewnętrzne trudności i nieuniknione przeszkody z zewnątrz, ale, co tu dużo mówić — po prostu promieniujące młodością szczerą, ufą, niezakłamaną w patosie pokrywającym tak często egoistyczne wyrachowania ludzi starszych.

Młodzież zorganizowana tu jest w społeczeństwo kierujące się własnym statutem, do którego w miarę czasu i doświadczeń życiowych wnosi uzupełnienia i poprawki. Samorząd — to doskonała szkoła obywatelstwa.

I tu właśnie na gruncie samorządu przede wszystkim rozwija się w sposób naturalny i konsekwentny współzycie czterech gromad, na które podzielona jest młoda społeczność sławiecka, będąca członkami czterech organizacji młodzieżowych: OM TUR-u, Harcersstwa, Wici, Związku Walki Młodych.

Gdy obok jasnowłosego, śniadego chłopaka, gdy obok bładozłotej rumianej dziewczyny siedzę w szkolnej ławce i patrzę na te dokoła mnie dzieci jeszcze przecież, które są już jednak usamodzielniającymi się ludźmi — mam w pamięci to wszystko, przez co każde z nich przeszło w swym krótkim życiu, zanim wyładowało tutaj. Był tam głód i poniewierka, strach nieczłowieczy, ziemia spod nóg wyrwana i wyrwana wiara z serca, otarcie się o zbrodnie, zbratanie się ze śmiercią, patrzenie bez zmużenia powiek w oczy cudzej i własnej niedoli.

To pokolenie obciążone przeżyciami ponad miarę któregokolwiek z poprzednich pokoleń, znalazło w sobie siły do przezwyciężenia ponurego ciężaru i trafnie wydobyla ze swych doświadczeń te, które dziś tak waleń przyczyniają się do budowy Miasteczka Młodzieży.

I nie jest ważne to, gdy jasne i ciemne głowy pochylają się nad białymi kartkami zeszytów, a spod palców mniej lub więcej błęgie płyną rzadki słowa oznajmujących o wielu godzinach dyskusji burzliwych i cichych przemysleń: „dlaczego

## EWA SZELBURG-ZAREMBINA MIASTECZKO MŁODZIEŻY

Co zapewniono tej młodzieży? Bezpłatną naukę, bezpłatne mieszkanie i wyżywienie, w miarę możliwości odzież i przedmioty niezbędne do codziennego użytku.

Jaki jest socjalny skład tej młodzieży? 47% to młodzież robotnicza. 25% młodzież chłopska. Reszta pochodzi z rodzin pracowników umysłowych (wszystkich jest niespełna siedemset, a Ślawieicie mogą pomieścić 1800).

Młodzież, ona to, świeżą wciąż energią i pracą nieskapioną przy pomocy fachowej starszych doprowadziła „gospodarskim“ sposobem i doprowadza wciąż jeszcze do stanu użyteczności budynki szkolne i gospodarcze, sale wykładowe i warsztaty, ogród.

Ceni się to, co zbudowało się własnymi rękami, szanuje się to do czego przyczyniło się własną głową.

Tu jest co cenić i szanować.

Zaraz za bramą u szerokiej drogi wjazdowej stoi słup. Przypomina z daleka indyjskie totemy, taka na nim innogosc jakichś barwnych oznak. Podchodzimy bliżej — to tylko pomysłowy drogowskaz najeżony plastycznymi nazwami instytucji rozmieszczonych w olbrzymim parku.

Wybór trudny. Lecz, że trwa upał, zneceni miłym chłodem cienistej alei, ją wybieramy. A, że doprowadzi nas ona do warsztatów gdzie pracują uczniowie gimnazjum mechanicznego, tym lepiej.

Te sale pojemne w niskich, długich parterowych budynkach stwo-

prawa piłki. Więc — zadanie programowe i zarazem przedmiot, który przyda się obok, kolegom — stolarzom.

Właśnie przechodzimy do sąsiedniej stolarzki. Przyszli mistrze stolarcy kwapią się w tej chwili, i to kwapią się nie żartem, z wykonaniem półek kwiatowych. Kwiaty! To nas tak zwraca w stronę ogrodnictwa, że tylko krótkim zdaniem wyrażamy jeszcze podziw dla stołków i stołów wyprodukowanych na potrzeby Osiedla i zdajemy nową drożką.

Szklarnie (z niczego), inspekty (z niczego), zagony z rozsądą. I naturalnie kwiaty, kwiaty, którymi stroi się sale, klasy, izby mieszkalne, gazony. Ale najważniejszą „personą“ wśród tej „zielenizny“ są w tej chwili sadzonki pomidorów. Staram się więc patrzeć z należnym szacunkiem na to cuchnące zielsko.

I gdy entuzjasta ogrodnik z entuzjastą naczelnym dyrektorem wliczają mi tysiące tych lilipuciach krzaków, które przy końcu lata, aby odciążyć budżet, obciążą się tysiącami kilogramów wspaniałych, pożywnych i cennych (drogo-cennych) owoców — w oczach robi mi się szkarlatno, jakbym już stała pośrodku plantacji tych ongi egzotycznych italskich „pommo doro“, złotych jablek.

Ale w tej chwili stoję wśród młodych, świeżo posadzonych drzewek owocowych nowozalożonego sadu.

Zdrową troską kierownictwa jest chęć uniezależnienia się od zapo-



go należą do mej organizacji"... Ale ważne jest, że ci młodzi członkowie OM-Turu, Harcerstwa, Wici, Związku Walki Młodych, istotnej wartości swoich organizacji muszą do wodzić codzien i o każdej porze — w nauce, w pracy, w sporcie, zabawie.

Współtowarzyszy będących współzawodnikami nie łatwo ołśni frazes, nie podbije tromtadractwo. Jedno jest, co przekona ich — robota.

Twórcza robota zyskuje wyraźnie na współzawodnictwie organizacji.

Toteż niech będzie młodzieży zostawiona w jej poczynaniach jak największa samodzielność, jaknajszersza swoboda. Wstrzemięźliwość dorosłych opiekunów wyjdzie tu na dobre.

Dla mnie ostatni dzień pobytu w „Mosie“ kończy się popołudniem.

Przed jednym z budynków mrowisko chłopców. W słońcu na soczystej trawie postawiony, dymi pojemny termos smakowitym zapachem grochówki na mięsie. Nęca oczy i podniebienie miski z zieloną sałatą na stołach, skwarki jak złote pszczoły gęsto obsiadły nałożone kopytoziemniaki na talerzach.

Ilość kaloryczna i jakość witaminowa potraw — to dużo, ale nie wszystko. Jedzenie gromadne, jedzenie „z kotła“ powinno jedzącym smakować. I smakuje młodym towarzyszom, a to już zasługa koleżanek, uczennic szkoły gospodarstwa domowego. One prowadzą kuchnię młodzieżowego ośrodka szkoleniowego.

Chrupiemy ze smakiem temat ostatniej lekcji pieczenia — kruche ciasteczka, wyciągnięte z gorącego piecyka przez oddział młodych kucharek i, nie pozwalając sobie broń Boże na żadne aluzje do przesolonych zrazików, słuchamy dramatycznego opowiadania o heroicznej walce z dymiącym przewodem kominowym. O walce, podczas której trzeba było wołać na pomoc... kolegów.

Gdy po posiłku opuszczamy jadalnię dziewcząt, na środkowej alei mijają nas, nie zauważywszy, spora grupka starszych chłopców. Depcząc sobie po piętach zwróceni są w stronę mężczyzny, który idzie z nimi, pośrodku nich. Widzę, że rozmawiają i że rozmowa jest bardzo ożywiona. To nauczyciel historii i jego słuchacze bezpośrednio po wykładzie mają sobie jeszcze wiele do powiedzenia.

Mimowoli wspominam oddzielony zaledwie szerokością pasma wody kawałek pustyni usianej gęsto złowieszczymi bunkrami, zasnutymi resztkami drutów kolczastych rdzą żartych — miejsce po niemieckim obozie jeńców... skrawek minionego czasu, minionego świata. Gdyż tamten czas i tamten świat przecięzione są raz na zawsze, mimo, że dech ich trujący włoży się i jeszcze czas jakiś będzie się włościł po zakamarkach dusz i ziemi.

Gdy zamyka się za mną brama parkowa, długo jeszcze słyszę szum starych drzew, które okryły młodym liściem swe okaleczenia, zmieszany z szumem różnych sztandarów powiewających zgodnie nad siedmioma setkami młodych dziewcząt i chłopców zdających z siłą żywiołu w świat budowany według socjalistycznego prawa wolności i braterstwa.

I dobrze mi jest pomyśleć w słońcu lata, że solidarne ręce naszych dzieci wykuwają klucz do zamkniętych dla nas drzwi szczęścia.

EWĄ SZELBURG-ZAREMBINĄ

ARTUR SANDAUER

## NOTATNIK Z PODRÓŻY

Najbardziej jednolite w stylu ze znanych mi miast europejskich, kwintesencja baroku, miasto wykuszów i arkad, starych rynków i prastarych legend, Praga — ma poza tym dla nas, Małopolan, ten specyficzny urok, że wskrzesza w nas atmosferę dziecinstwa, cały urzędniczy i ustabilizowany, jeszcze wówczas nieatomowy świat cesarsko-królewski.

Charakter Czechów, jak naszych Poznaniaków, kształtował się w walce z Niemcami. Aby pokonać wroga, musieli zyskać pewne jego cechy pozytywne. Ich praktyczność i gospodarność wynikała z konieczności. Gdyby byli inni, nie ostaliby się.

Ruch narodowy nie przybierał tu formy powstań. Zbyt małe — dla narodu tak trzeźwego — szanse powodzenia, brak elementu najbardziej bojowego, dobrowolnie zniesionej szlachty — wszystko to sprawiło, iż bardziej niż o niepodległość chodziło tu o zachowanie języka i kultury. Irredenta czeska była dziełem filologów raczej niż rycerzy; odzyskanie wynarodowionej rodziny — wygraną bitwą. Toteż puryzm lingwistyczny sięgał tu przeszłości; mowę codzienną tworzone świadomości i ze wszystkich języków słowiańskich ten jest najmniej zachwaszczony słowami cudzoziemskimi. Jest w tym wszystkim, obca



Scena zbiorowa z drugiego aktu „Fidlovački“ sztuki Franciszka Tyla, w reżyserii Jaromira Pleskoka, z dekoracjami Adolfa Weniga i muzyką J. F. Fischera



Scena z trzeciego aktu między „pocziwym Niemcem“ i piękną pokojówką



Dekoracja Weniga do „Fidlovački“, przedstawiająca starą Pragę w nocy

nam. dbałość o drobiazg, pedantyczny nieco patriotyzm.

Używać — przed 1848 rokiem — języka tak przez biurokrację niemiecką i własne wynarodowiające się warstwy wyszydzonego, było dla inteligenta, nieomal aktem cywilnej odwagi. Toteż przełomem, równym bez mała naszym powstaniom, był w dziejach Czechów pamietny „bal georginiowy“, którego uczestnicy, studenci i oświatowcy, przybrani w narodowy kwiat „ji-żyne“, mówili, po raz pierwszy, wyłącznie po czesku.

Z walki o język wynikła, wystawiana obecnie w Pradze, klasyczna sztuka widowiskowa Františka Tyla, „Fidlovačka“: nazwa odbywającej się corocznie w najstarszej dzielnicy praskiej, Nusle, zabawy ludowej, przypominającej nieco nasz lajkonik. Z zawartych w niej pieśni, które, bez wyjątku, zdobyły szeroką popularność, jedna zrobiła nawet karierę polityczną: „Kde domov moj“ stał się hymnem narodowym.

Podobna z intrygi do niezliczonych komedii klasycznych, Menandra, Terencjusza, Moliere (dwoje młodych, chcąc się pobrać, napotyka na opór rodziców) tym się jednak od nich różni, że, jeśli u Terencjusza na przykład skrupuły rodzicielskie wynikają z niewolniczego pochodzenia narzeczonej, u Moliere z dziwacznych upodobań starszej generacji, która pragnie narzucić je młodym, to u Tyla chodzi o rzecz bardziej istotną: o język mianowicie. Przeciwno sobie stają dwa obozy: reprezentant ludu, patriotyczny szewc i bogata, zniewolona maślarka. Dookoła niej groteskowe, mówiące niemiecko-włoskim volapükiem, towarzystwo, fałszywy baron Dudek, zalecający się równocześnie do panny młodej i do jej pokojówki; zakochany w tejże pokojówce pocziwina Niemiec, przerobiony zresztą przez reżyserię w dobie, gdy o pocziwosci Niemców innych nieco nabrano wyobrażeń, na Czecha. Losy tylu sprzecznych miłości i interesów rozstrzygają się dopiero na nocnej zabawie, Fidlovacze; i dopiero ona, poparta potężnym argumentem murów praskich, przynosi zwycięstwo słusznosci i nawrócenie maślarki. Osoby działające, podobnie jak i widzowie, nie mogą się oprzeć wymowie zakłętej w tych murach historii, która nakłania do czeszczyzny bardziej może wymownie, niż tyrady patriotycznego szewca.

Lecz oto, wyrwawszy się ostatkiem sił ze słodyczy praskiej, wzmożonej jeszcze przez serdeczne przyjęcie, jakie nam zgotowali znakomici przyjaciele. Polski i Polaków, prof. Karol Krejčí i p. Helena Teigova, ruszamy dalej w niepewny świat, załudniony przez komisje celne, wagony restauracyjne, różnorodnych podróży i przyimilne uśmiechniętych niemieckich konduktorów. W Norymberdze wiada do wagonu chudy i gadatliwy Amerykanin, który, po 5-minutowej znajomości, dzieli się z nami swymi poglądami na hierarchię narodowości (najpierw Szkoci, potem Anglicy, Irlandczycy, Niemcy, Hiszpanie, Francuzi itd. itd.), na politykę (tylko Ameryka cieszy się rzeczywistą wolnością, gdyż jakkolwiek jej obywatel może nazwać Trumana — czyniokolwiek) i na erotykę. Wszystkie kobiety są niewierne. Wracający z frontu żołnierze zastawali najczęściej swe małżonki w cudzych objęciach. Sam należy do poszkodowanych. W miasteczku Pensylwania, skąd pochodzi, ilość zdrań wynosi wśród małżeństw w wieku 18—25 lat — 50%, wśród starszych — 70%. Amerykanin jest smutny i pociesza się statystyką...

Tymczasem zbliża się Paryż...

ARTUR SANDAUER



## NAFTA CZY KORAN?

Stary, 67 letni, na pół ślepy król Saudil-Arabii, Abdul-Azis-Ibn-Saud, władca 6 milionów dusz i 30 synów, podobno najbardziej absolutny władca na ziemi, przekroczył, ku zgorszeniu ortodoksyjnych mahometan, przepisy Koranu. Mianowicie przyjął wizytę szeregu kobiet Amerek z odsłoniętymi twarzami. Stało się to w czasie wielkiego bankietu, jaki na cześć władcy Arabii wydał ambasador USA, p. Rives Childe. Bankiet był suty. Król siedział obok ambasadora. Król jadł palcami pieczoną owcę, ambasador widelcem i nożem smażoną wątrobę młodego wieblada. A wzajemna czułość stąd pochodzi, że dwa wielkie amerykańskie towarzystwa naftowe: „The Texas Company” i „The Standart Oil Company of California” dzielą od 1933 roku ropodajne tereny państwa Ibn Sauda. Dziennie wydobywa się tu 200 000 beczek ropy, a jego królewska mość dostaje od każdej beczki 22 centy, co daje w sumie 44 000 dolarów dziennego dochodu. Warto więc zlekka sprzeniewierzyć się Koranowi. Koran czy nafta? Wierność przykazaniom Mahometa czy 44 000 „miękkich” każdodziennego zysku na czysto? — Ibn Saud wybrał „miękkie”.



## MAMY POKÓJ!



W czasie wojny nienakładowa była normalna śmierć w łóżku. Od tego były bitwy, naloty i egzekucje. Domy też zapalały się wówczas tylko od bomb, miotaczy ognia, V1 i V2, „krów” itp. Teraz jest już po wszystkim, wobec czego do swych dawnych praw powróciły normalne pożary. W ostatnich

tygodniach spaliła się katedra Bazyliki w Budapeszcie, straty 25 000 funtów (1); ministerstwo oświaty w Brukseli, strata bezcennych archiwów (2); największe kino w St. Leonards, W. Brytanii, straty 100 000 funtów (3); zbiorniki benzyny w Los Angeles, straty 3 000 000 funtów (4). — Bowiem mamy już pokój...

## DZIEKI CYWILIZACJI...

W pustyniach Południowej Afryki wędrują z miejsca na miejsce, w wiecznym poszukiwaniu żywności i wody, resztki potężnego niegdyś plemienia Buszmenów. Po dziś dzień nie znając rolnictwa, prowadzą koczowniczy tryb życia, utrzymując się z polowania. Przed laty, gdy pierwsi przybyli Holendrzy zobaczyli ich w niskich krzakach („busz” — od tego nazwa), było to wielomilionowe plemię wędrujące po olbrzymich przestrzeniach. Dziś jest ich już tylko 7500 ludzi na wymiarciu. Nie tylko im nie posłużyła cywilizacja. Stała się coraz mniej strasna dla coraz większej ilości ludzi.



FOT: SAPI PLANET NEWS

## SPRAWY EROTYCZNE

Ty mój Erosie! — zwykły szeptać dziewczęta młodym ludziom, jeśli takowi robią wstrząsające wrażenie.

Bezwątpienia miała rację — szepcząc tak — ukochana Angela Colarossi, który przed 54 laty, jako 18-letni młodzieniec, pozował rzeźbiarzowi brytyjskiemu Alfredowi Gilbertowi do posagu Erosa. Rzeźba ustawiona na Picadilly Circus zyskała sławę światową, stając się prawie tym dla Londynu, czym wieża Eiffla dla Paryża, Sfinks dla Kairu, czy Kolumna Zygmunta dla Warszawy. W obawie przed bombami schowano ją w roku 1939 do schronu, skąd powróciła teraz na swe stare miejsce, by żyjącemu dotąd Angeli Colarossi (na zdjęciu niżej) przypominać jego boską młodość.





Józef Feldman: **BISMARCK A POLSKA**. Wyd. drugie. Spółdz. Wyd. „Czytelnik”. Kraków. 1947. Str. 430.

Postać „Żelaznego Kancelarza” — Bismarcka należy do tych figur historycznych, które będą fascynować przez wieki całe zarówno zawodowych historyków, jak ludzi zwykłych. Są to ci mężowie stanu, którzy potrafiłi swój naród wysunąć do rzędu wielkich potęg. Tego dokonał z Niemcami Bismarck. Koalicja nie potrafiła zniweczyć w roku 1818–20 potęg Niemiec ufundowanej przez Bismarcka. Wydaje się, iż dopiero rządy Hitlera okazały się dla dzieła bismarckowskiego zabicie, lub przynajmniej bardzo szkodliwe. Dla Polaków Bismarck jest kimś szczególnie interesującym i szczególnie nienawistnym. Losy naszego narodu i tego człowieka spłotyły się z sobą jakimś fatalnym węzłem. Nie co innego przecie, jak śmierć, elementarna nienawiść do Polski, która Bismarckowi za wszelką cenę szukała pokoju, a nawet przyjaźni Rosji Carskiej, a to znów stało się główną przyczyną wielkości Kancelarza, zwycięstw nad Austrią i Francją oraz ugruntowania Rzeszy Niemieckiej pod hegemonią Prus. Było to zresztą ogniwem pewnego ciągu historycznego, który zaczął się przed wiekami. Brandenburgia, Krzyżactwo, Prusy, Rzesza potęg — nalały głównie dzięki osłabianiu i wypieraniu Polski, tuczyły się Polską. Hitler nie byłby możliwy bez Bismarcka, Bismarck nie istniałby bez Fryderyka Wielkiego, a ten znów nie byłby Wielkim gdyby nie rozbiory Polski, i nie byłby królem gdyby nie fatalny traktat welawsko-bydgoski, który z kolei... wystarczy już tego cofania się wstecz. Józef Feldman przedstawił ten tok historyczny w sposób jasny i przejrzysty w swej innej pracy, też wydanej już po wojnie: „Problem polsko-niemiecki w dziejach”.

Fragmentem tego problemu jest sprawa polska za czasów Bismarcka i w ujęciu jego polityki. Dzieło zmarłego przed niedawnym czasem prof. U. J. Józefa Feldmana „Bismarck a Polska” jest gruntowną analizą stosunku Kancelarza Rzeszy do sprawy polskiej, przeprowadzoną na szerokiej płaszczyźnie całej polityki europejskiej w tym czasie. Doskonale udokumentowane dzieło jest pasjonującą lekturą. Bo i tamte czasy były zaiste pasjonujące. Kariera polityczna Bismarcka zaczęła się w dobie Wiosny Ludów. Niemcy deklarują się wówczas patetycznie z przyjaźnią do narodu polskiego, a młody polityk Bismarck powiedział „nie”. Albo silna Polska albo silne Niemcy. Odrodzona Polska musi mieć dostęp do Bałtyku, a to nie leży w interesie Niemiec. — Ten refren będzie się już odąd powtarzał przez cały ciąg działalności Bismarcka.

W rozgrywce zaś prusko-rosyjsko-francuskiej w czasie Powstania Styczniowego, kiedy to już, już koncepcją Kancelarza groziła zasadnicza przegrana, jeśli na koniec odniósł zwycięstwo — to raczej dzięki swemu antypolskiemu instyngtowi niż politycznej przebiegłości.

Z analizy psychologii i światopoglądu Bismarcka widać jak na dłoni podobieństwa i różnice między nim a Hitlerem, między którymi to meżami stanu zbyt proste przeprowadza się dziś paralele. Bismarck bowiem nie był nacjonalistą.

Omówienie przeszło czterysta stronicowego dzieła, dużego formatu, niemożliwe jest w niewielkiej notatce. Wypada nam tylko zwrócić uwagę czytelników na te znakomite kłaski, niezbezdą dla każdego, kto chce mieć o stosunkach polsko-niemieckich jakiegoś wielkie zdanie.

**Twórczość.** Miesięcznik literacko-krytyczny. Rok III. Zeszyt 7—8. Lipiec—sierpień 1947.

Nowy podwójny numer miesięcznika otwiera wspomnienie z lat dziecinstwa pt. „Na Kowel czy Brześć”, pióra H. Boguszewskiej. Interesującą pozycją są pierwsze dwa akty dramatu pt. „Kaligula” Alberta Camusa, który mimo młodego wieku i szczupłego dorobku zalicza się do czołowych pisarzy współczesnej Francji. A. Wysocki pisze o swych „Trzech spotkaniach” z Władysławem Reymontem w początkach naszego stulecia. Obszerny esay o twórczości Emila Zegadłowicza ogłasza Julian Krzyżanowski. Ponadto, z ciekawych prac wymienić należy szkic o malarstwie Pierre Bonarda, niezmiernie rzeczowe i sumienne sprawozdania, krytyczne (Broniewski, Ważyk) oraz notę „O wielką literaturę dla młodych”. W „Ankiecie o dwudziestolecie” głos zabierają: Bratny, Miłosz, Natanson i Zawieyski.

# ŚWIĘTO BASTYLII I INNE TROSKI PARYSKIE

KORESPONDENCJA WŁASNA

Paryż, w lipcu 1947

Byłem kilkakrotnie po wojnie w Paryżu, jeszcze w czasach, gdy wyglądał on jak miasto okupowane przez wojska amerykańskie, a małe jeep'y były jedynymi prawie wehikułami na Polach Elizejskich, widziałem go później, podczas Konferencji Pokojowej, kiedy znów przypominał wielkie dni polityki światowej, którą tak zawsze egzaltują się Francuzi, a kiedy z okien Café Colisée można już było obserwować modne eleganterie paryskie i pierwsze limuzyny produkcji francuskiej i kiedy „Café Quirinal” na Marbeuf chwaliła się w swym pierwszym menu befsztykami à l'anglaise. Żyłem w nim późną jesienią 1946 r., kiedy walka o władzę między partiami szła w parze z walką ulicy paryskiej o chleb z kuku rydzy. Głód był wtedy tak dotkliwy, że ludzie chętniej interesowali się kulisami „walki o byki”, jaką toczył ówczesny minister aprowizacji Farge z deputowanymi, niż wynikami walki byków na Vel d'Hiver.

Czy od tego czasu Paryż zmienił się? Zdania są, jak zwykle, podzielone.

Politycznie i gospodarczo z pewnością na gorsze, mimo że pozornie może wydawać się, iż miasto to żyje jak za „dawnych, dobrych lat”. Później ulice są pełne i gwarne, kawiarnie natłoczone, sklepy uginają się pod kosmami owoców, wszelkiej żywności, delikatosów, win i innych rarytasów, które rzadko znajdziesz w innym mieście, witriny zaś na rue Rivoli, pod arkadami, czy na Faubourg St. Honoré lub w pobliżu kolumny Vendôme — zadziwiają luksusową mozaiką rozmaitych tkanin, welen i jedwabi. Nie trzeba też dodawać, że szaleń-

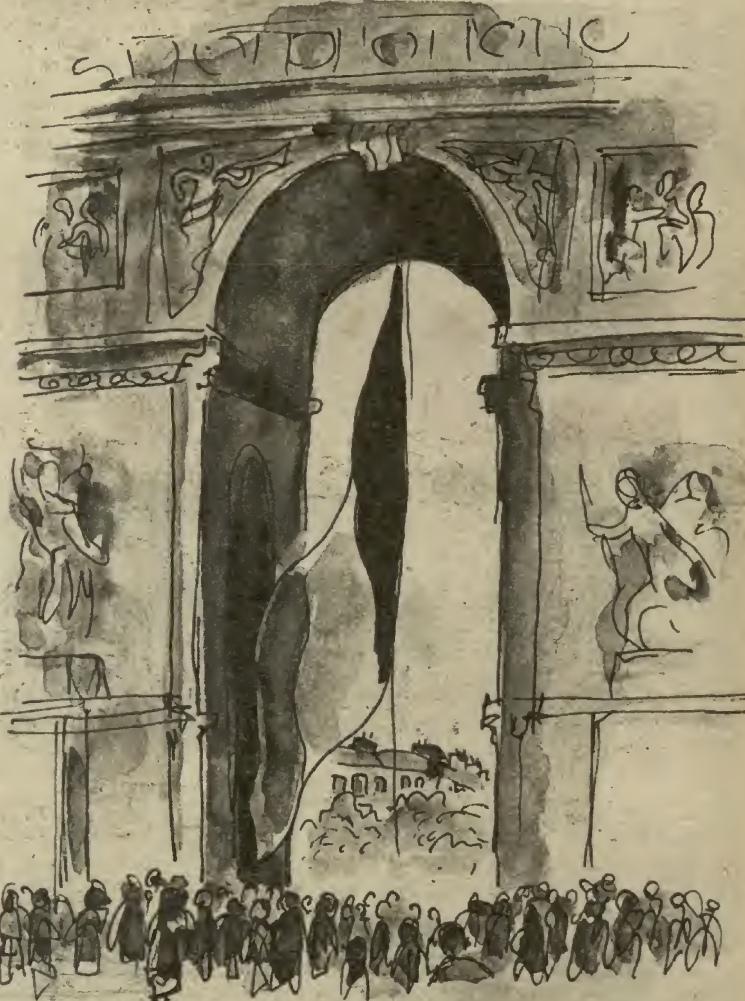
stwo perfumowe rozlało się na cały Paryż, nie ustępując innym kosmetycznym produktom fantazji francuskiej. Od zielonego tuszu do rżęs poczynając, a na fioletowych farbach do włosów kończąc. Elegancka bowiem paryżanka nosi obowiązkowo zieloną suknię w deseń, czerwony płaszcz — ma fioletowe włosy, zielone rżęsy i liliowe paznokcie...

A więc, w sklepach jest wszystkiego w bród, tylko że nikt tego nie kupuje. Piszac „nikt” nie mamy oczywiście na myśli ani bogatych Amerykanek, które teraz szaleją w Paryżu, ani innych cudzoziemców, względnie tej garstki paryżan, jaką stać na luksus eleganckiego życia po wojnie. Jeśli ktoś zboczy jednak z głównych ulic paryskich i zapuści się w laszcze „interioru” Paryża, przekona się rychło, że liczne kawiarnie świecą pustkami, że skle-

za pokój w hotelu płaci 4 tysiące. Własne mieszkania bowiem należą do najdroższych rzeczy w Paryżu.

Luksus kilku eleganckich dzielnic Paryża, przytłoczony jest więc wielką nędzą i niepokojem, które nekają to „najszcześliwsze miasto na świecie”, jak pisał ongiś Anatole France.

Powiadają nam tutaj, że nareszcie Paryż ma dobrą komunikację. Na pozór może i tak wygląda. Pod Operą czy na Placu Zgody długo trzeba nieraz czekać na okazję przedostania się na przeciwległy chodnik. Ale złudzenie to pryska, jeśli zabawimy się w topografów i obejrzymy dokładnie Paryż. Komunikacja dla przeciętnego zjadacza drogiego — i bardzo podłego — chleba paryskiego, jest raczej luksem i wysiłkiem równocześnie. Metro i autobusy, owe pocztowe słonie na wrotkach, podróżują dwu-



Chorągiew „tricolore” pod Łukiem Triumfalnym w dniu 14 lipca

py są biedne i mają tylko to, co wydaje się na kartki oraz trochę owoców i warzyw, że blawatnicy i tancerze nie mają nic poza swymi własnymi troskami do sprzedania. W małych bistrach poza lichym piwem nie „nie idzie”, jak wyznał mi właściciel takiego zakładu, a handel koszykowy dzielnie rywalizuje z koncesjonariuszami wielkich sklepów warzywnych. Ludzie biednie są tu ubrani, a dzieci niedożywione. Podwórza wąskich domów pełne hałasu, kłótni i swarów. Z mieszkań „jedzie” zapach czosnku i kwaśnego wina. Kobiety nieuczesane i ubrane byle jak. Kapelusze zastąpione kaszkietami, po których znać historię ostatnich lat wojennych. Prawda to, że w Paryżu wszystko można dziś dostać. Ale prawda jest również, że maszynista zarabia 8–10 tys. franków miesięcznie, a

krótkie. Pojazdy te są przy tym zawsze tak przepelnione, że oprócz straty czasu, człowiek wychodzi z nich po prostu jak z magła. Tak-sówki są, i nawet niezbyt drogie — przeciętny kurs wraz z nieodzownym napiwkiem wynosi ok. 50 franków — ale żeby zjawić taką złapać, trzeba być człowiekiem niezwykle cierpliwym, silnym nerwowo, wytrzymałym fizycznie, linoskoczkiem nieraz, a nawet Indianinem o sokolim oku i zwierzęcym słuchu.

Potrąfiliśmy z Osmańczykiem godzinami łapać taksówki, aby dostać się na konferencję na Quai d'Orsay; wysiłki nasze z reguły kończyły się na porażce i metrze w stronę Concorde. Jak szaleńcy rzucaliśmy się z okrzykiem „Stop, Monsieur” na sam środek rojącej się od pojazdów jezdni (szoferzy paryscy jeżdżą jak wariaci, którzy



Tłumy robotników w pochodzie demonstracyjnym na Placu Bastylli



urwali się z kaftana), aby złapać taksówkę i w końcu usłyszeć z ust szofera sakramentalną odpowiedź, że — jedzie w innym kierunku i tylko tam może nas zawieźć, że jest teraz pora obiadowa, a szofer — też człowiek, że owszem zgadza się ale tylko na dwie osoby (nas zaś było trzy, w aucie natomiast aż pięć pustych miejsc!), albo wręczcie, iż jest zmęczony i jedzie do domu. Inne taksówki były oczywiście już dawno zajęte. Zasadą paryską wydaje się powiedzenie: „jeśli spieszysz się do jakiegokolwiek, najlepiej idź piechotą. Zajdziesz szybciej i w dobrym zdrowiu...”

Trudno wymagać więc od paryżan, aby w takich warunkach cieszyli się i radowali życiem, tylko dlatego właśnie, że przypadek sprawił, iż urodzili się nad brzegami Sekwany. Są tedy smutni i przygnębieni, starając się cały swój temperament wyładować w polityce.

Paryż był zawsze miastem, które żyło polityką, zjazdami, konferencjami i kongresami. Francuzi mieli i mają nadal kult dyplomacji i cnót kulinarnych. Ale dobry Francuz — to jest syty Francuz, któremu poza tym biegnie renta w banku, lub dojrzewają kupony w sejfie. A głodny Paryżanin jest zawsze złym politykiem i niecierpliwym obywatelem. Stąd owa fala strajków.

Alé nie tylko ustawiczne strajki i kłótnie polityczne są objawem niepokojów francuskich. Mielśmy ostatnio nowy przykład. Było nim tradycyjne święto 14 Lipca, дума demokracji francuskiej i rozbawionych gawroszów. Po wojnie pierwszy raz świętowałem wraz z Francuzami zburzenie Bastylli. Wiele spodziewałem się tym razem, zwłaszcza, że od kilku dni nie przedstawiano mówić o nawrocie do dawnej tradycji. Zapowiadano i tańce na ulicach i bale na placach i fajerwerki na Placu de la Concorde, słowem bal na kółkach.

Święto 14 Lipca trwa zazwyczaj trzy dni i trzy noce. Tak było i tym razem. Ale — doprawdy — nie widziałem czegoś bardziej żałośliwego jak dni świąteczne w eleganckiej części Paryża i bardziej podniosłego jak owo święto w robotniczych dzielnicach i na plebejskich bulwarach. Wydawało się, że mieszczaństwo paryskie, owi episyferzy z wąskich uliczek „starego” Paryża, postanowili zaprotetować i nie bawić się, skoro robotnicy tym razem zamysłali wyjść tłumnie na ulice.

Nie tańczono tym razem w Paryżu, jak dawniej. Nieśmiało posuwały się tu i ówdzie nieliczne pary po chodnikach, Boul-Michel, czy

w okolicach Boul-Saint-Germain. Hałasowali najwięcej przekupnie i właściciele bud i kiosków na skwerach; niemniej hałaśliwie udawali zabawę akademicy na placu przed popiersiem Augusta Comte. Na Champs Elysees, w wytwornych kawiarniach dystygnowana publiczność ziewała dyskretnie przy aperitifach, słuchając gardłowych śpiewów ulicznych żebraków, z których plaga walczyły cały Paryż.

Płonął zniczn pod Łukiem Triumfalnym, drżała na wietrze olbrzymia pod nim „tricolore”, dzieci tłoczyły się przed wieńcami na płycie „Nieznanego Żołnierza”, ale nie dochodziły tu okrzyki manifestantów z placu Bastylli.

Była to zdaje się w ogóle jedyna dzielnica Paryża, która potrafiła bawić się na Quatorze Juillet. Ludzie francuski korzystał tu z przywilejów swego święta, jakby chcąc podkreślić, że on tu coś jeszcze zna. Bastyllia i Pola Elizejskie — oglądane tej samej nocy — to jakby dwa światy, dwa społeczne obrazy, dwa polityczne obozy jednego miasta.

Pięknie i zabawnie było tej nocy na Placu Bastylli. Ale jeszcze większej emocji doznałmy nazajutrz, gdy ulicami Paryża deflowa-



#### DO REDAKTORA „PRZEKROJU”!

W związku z artykułem „O sławie murzyńskiej, która zgasiła w Łodzi”, chciałabym donieść, że grób Aldridge’a na cmentarzu ewangelickim przy ul. Ogrodowej jest w tej chwili zaniedbany, lecz można go bez trudności odnaleźć. Znajduje się tam tablica kamienna z napisem:

IRA ALDRIDGE  
† 7. VIII. 1887

oraz fotografia artysty w kostiumie scenicznym. Jeśli chodzi o nazwisko, czy brzmi ono Alra Aldridge czy Ira Aldridge, to raczej należy przyjąć to ostatnie, gdyż właśnie z tym brzmieniem spotykałam się w literaturze.

Jeśli się nie mylę, właśnie Ira Aldridge grał rolę Otella w Modrzejewskiej, gdzie scenę morderstwa zagrał z tak niezwykłym realizmem, że Modrzejewska istotnie zaczęła się bać, a wówczas aktor szepnął „proszę się nie bać. Ja tylko gram”.

80-lecie śmierci aktora, przejdzie prawdopodobnie bez echa, a wartyby przypomnieć go, tym bardziej, że data jego śmierci zbiega się z festiwałem szekspirowskim.

Leśniewska Melania (Łódź)

#### DO REDAKTORA „PRZEKROJU”!

Prawo do odpoczynku dotyczy wszystkich istot żywych, nie wyłączając Zielonej Gęsi, która w pierwszym rzędzie winna korzystać z błogostawieństwa czasów jako że całonocna praca na pewno ją wyczerpała.

To mając na względzie ośmielamy się zaprosić ją na dwutygodniowy bezpłatny pobyt na naszym obozie w Wędrzynie na Ziemi Lubuskiej.

Obawiając się jednak że sama czułaby się niedobrze, z radością powitałabyśmy wśród nas, również jej Patrona, K. I. Gałczyńskiego. Jeśli chodzi o wyżywienie dla Zielonej Gęsi, to zapewniamy, że produktów przez nią chętnie spożywanych jest w bród. Jeśli chodzi o warunki zdrowotno-widokowe, to określamy słowem: Szwajcaria. Mamy wrażenie że nawet p. Hermenegilda K. czułaby się u nas świetnie. Gdyby dotychczas nikt nie zaprosił Osiółka Porfiriona, to chętnie ujrzymy Go u siebie. Do Obozu naszego jedzie się przez Poznań, Rzepin do stacji Wędrzyn. Gdyby Szanowny zespół mógł skorzystać z naszego zaproszenia, prosimy o powiadomienie nas telegraficznie.

Uczestnicy Obozu Bratniej Pomocy  
St. Uniw. Łódzkiego  
Za Komendę: R. Skowroński

Komunikujemy, iż teatr „Zielona Gęś” wysłał do Was na wczasy, najbardziej wyczerpanego współpracownika, który prosi aby we czwartek po południu czekały na stacji konie.

#### DO REDAKTORA „PRZEKROJU”!

W Nowym Sączu, przy ulicy Sienkiewicza 2 wisi od kilku tygodni wywieszka:

CUKIERNIA „SEX APPEAL”  
Józef Kosiba

Nic dziwnego, że tłumy nowosądeczan spieszą do cukierni, spodziewając się, że za kotarami, w tylnych pokojach kryją się zakazane owoce. Tymczasem rzecz polega na pospolitym kancle, na który ja również dałem się nabrać. Wszedłem do lokalu. Personel ubrany skromnie, fizjognomie kelnerek chmurne. Z napojów podaje się tylko oranżadę i piwo. Nie tracąc jeszcze nadziei, podszedłem do właściciela i szepnąłem mu kilka słów na ucho. W rezultacie zostałem wyrzucony z hukiem na ulicę. Upraszam z tego miejsca publicznie o natychmiastowe zdjęcie szyldu i nieprowadzenie przyzwolonych konsumentów w błąd.

„Nowosądeczanin”

Krysińska, Opole: Streptomycyny nie ma dotąd w handlu. Najlepiej ogłosić przez radio apel do jej nielicznych posiadaczy.

Wilkos w górach: Informacji udzieli Wydział Szkolnictwa Zawodowego.

Edmund H.: Myśleliśmy już o tym wiele, lecz na wprowadzenie do „Przekroju” „Historii malarstwa” — na razie nie mamy miejsca.

Mgr. Czarner: Z uwagi na brak miejsca nie możemy wykorzystać.

A. Czekański: Być może wykorzystamy we fragmentach. Cierpliwości.

St. Huzowa: Reportaż ciekawy, jednak z tych terenów zamieściliśmy już wiele korespondencji.

H. Koan: Przyjęliśmy do wiadomości rozprawę o „Klinicznym znaczeniu witamin C”. Chyba pomylił Pan adres.

Ktoś z „Wylegarni”: Kłedy będziecie już opierzeć, powiadomcie nas o tym. Pomówimy wtedy na serio.

I. Brzecz: Śleczaliśmy pół dnia, lecz nie byliśmy w stanie odcyfrować.

Z. Łączkowski, SLK — Warszawa, List ze Śląska, B. J. Janicki, W. Miłkołajczyk, Dr. M. Jarosławski, E. Petraitis: Nie skorzystamy.



Rzęsienie oświełony lecz niezbyt tłumny tym razem Plac Zgody w dniu święta Quatorze Juillet

która zmieniła się już w prawdziwą sztafetę demonstracji politycznych. Politycy paryscy zaś — nie chcąc dopuścić myśli, że Francja zesłała po wojnie na plan drugi a czasy Brianda minęły bezpowrotnie i broniąc się przed smutną rzeczywistością, popełniają liczne błędy. Stąd kłopoty na arenie międzynarodowej, i gaffy polityczne, jakich dopuszcza się z własną szkodą Quai d'Orsay, siedziba pp. Bidault i Hervé Alphand, szarej eminencji francuskiej polityki. Kraj, który był niedawno wierzycielem całego niemal świata, stał się obecnie jego dłużnikiem. Francja ma poza tym kłopoty z koloniami i nieczym niezaspokojone tęsknoty imperialne, które pchają kraj ten z jednej niekonsekwencji na drugą. Czyż bowiem rozsądnym było z jednej strony podjąć się kierownictwa tzw. Komitetu dla współpracy ekonomicznej, opartej na Planie Marshalla, a z drugiej — ustąpić z ust tego samego dobroczyńcy wyrok na aspiracje i nadzieje polityczne Francji w Zagłębiu Ruhry?



Śpiewający żebracy uliczni są prawdziwą plagą dzielnic Pól Elizejskich

ly nieprzebrane masy świata robotniczego stolicy nadsekwąskiej.

Pochód był imponujący i wymowny politycznie. Transparenty obfitowały w drastyczne nierzapisy antyrządowe, a podobnym krzykom nie było końca. Pod hasłem „Jesteśmy obrońcami republiki” przed trybuną honorową, gdzie rezydował Thorez i Dulos, defilowały zwarte oddziały byłych maquis, partyzantów, Francitreurów, ochotników wojny hiszpańskiej, więźniów obozów niemieckich, delegacji komunistycznych z całego świata, nie wyłączając amerykańskich, delegacje emigracji narodowych, nie wyłączając robotników polskich.

Tegoroczny lipiec, zimny zresztą i deszczowy, nabrzmiał ogłoszami konferencji politycznych i pomrukami strajków, był tak odmienny w świętowaniu Quatorze Juillet, jak współczesna Francja odmienna jest od dawnej, pocziwej, pachnącej frankami i lawendą „la douce France”.

MARIAN PODKOWIŃSKI





ILIA ERENBURG  
**NAWALNICA**  
TŁUMACZYŁ JERZY POMIANOWKI

9

Jedno, co mnie wyzywalo  
 jedno, na co mnie powolalo  
 opamiat. Jednego tutaj zabu-  
 ze nie jestesmy nienawistni. Wsze-  
 chnie, co jestesmy, jestesmy z  
 mlodezy brat szuzy w cokolwiek, ci  
 przerywy dzialaja cala mielotek.  
 Kiedys nadmierz, nuzca taku-  
 tawa wina za juz wypicie, a mielotek  
 drwaki. Wypicie, Klepacz prze-  
 mowa, jak to jest, jak to jest, jak  
 myslal, ze nie tylko bydzie jak  
 jak dziedziczny i posale foto-  
 graficzny. Niech to jest, to jest  
 prawdziwym mekczajny! Strach

A oto (po prawej) przedsi-  
biorstwo, które — w ramach  
ogólnej walki  
z alkoholizmem —  
pozwała kon-  
dytalem na ab-  
stynencką pró-  
bowkę (za mi-  
łą opłatą) sto-  
jącą na węd-  
kę Baski. W  
na ciwcowego



ków. I w ogóle poco jej pisać o miłości: kobiety lubią zimnych pożeraczy serc. „Strasznego noc ostatnia, noc oczekiwania...“ Starannie wykreślił słowo „strasznego“ i napisał „feralna“. W Polsce jest dużo ładnych dziewcząt, koledzy zachwycali się nimi. Moje natomiast myśli biegły w inną, daleką stronę, hen, na wschód, gdzie wschodzi słońce i gdzie, być może, zajdzie moja gwiazda! Za godzinę — pierwsza bitwa. Czy przypominasz sobie nasz spacer w Oberwaldzie? Spełnił wszystko, o czym mówiłem. Słę ci uśmiech z pierwszej linii frontu!!! Skończył list, wyjął notes, podarowany mu przez Lotte i napisał: „21 czerwca. Noc. Rozkaz. Nikt nie śpi — szykujemy się. Okropność.“ Spróbował znaleźć pociechę w tabliczce czekolady, ale zaraz wypłuł odgryziony kawałek — młodości podchodziły mu do gardła.

Richter sam nie rozmawiał i nie słuchał innych; myślał o Hildzie. Śpi chyba o tej porze. A jeżeli nie? A co, jeśli Robert jest u niej? Na dworcu byli razem... Został w Berlinie. Może jest właśnie u Hildy? Przyjechał o dziewiątej, ona zaś pozwała mu odczekać swoje pół godziny w salonie. Przeglądał album „Gotyk niemiecki“ i ziewał nerwowo. Hilda tymczasem przebiegała się; właśnie włożyła kimono, to niebieskie z czaplami, potarła karkiem od perfum szycie, piersi, weszła, spojrzała na Roberta okrągłymi, smutnymi oczami. Ach, to ty, mon ami? „Jak gdyby nie wiedziała, kto na nią czeka. Potem krzyknęła: „Ach, Robercie, co robisz?“. W tej chwili mówi: „A co, jeśli Kurt się dowie? Nie chciałybyśmy go zmartwić.“ Robert też się lituje: „Biedny Kurt!“ Nie, to być nie może! Poco właściwie się dreczyć tymi kretyńskimi historiami? I jeszcze w taką noc... Trzeba o tym wszystkim zapomnieć. Richter zmusił się do słuchania rozmowy.

— Walczyli z Napoleonem — perorował frajter — to święta prawda. Ale wtedy jeździło się pocztą, a teraz to decydują motory, teraz te przestrzenie nikogo nie przestraszają...

Richter pomyślał z melancholią: Ci ludzie nie wiedzą, co to jest Rosja. To nie kraj, to swój świat. Step, lasy... Jedzie się, jedzie i nie widać końca... Człowiek cały czas czuje swoją znikomość. Można tam przepaść z kretesem nawet bez żadnej wojny — człowiek zdechnie i nikt tego nie zauważy... Oczywiście, Rosjanom brak naszej organizacji. To dziwni ludzie, nie można na nich polegać: W trakcie rozmowy nigdy nie wiadomo, co takiemu za chwilę strzeli do głowy... Może nas powitają kwiatami, wcale się nie zdziwi. A może będą walczyć, jak wariaci. Byłem tam, ale bo to ich znam? Pułkownik Wilke też nic o nich nie wie, bo mówił o „półpokojowej penetracji“. Można zrozumieć Francuza, Anglika, Holendra, ci zaś tutaj — to azjaci. Sam führer ani podejrzewa co to za orzeszek...

— Pewno, że ich sporo — mówił Karaluch — ale Chińczyków jest jeszcze więcej. Wojna to nie arytmetyka... Byłem świadkiem, jak nasi wzięli do niewoli francuskiego generała, miał na piersi osiemnastce wstążeczek — widać, nie takie już były co, a płakał, jak ciele, bo się przekonał, że wobec Niemców jest niczym. Rosjan może być więcej niż mrówek, to nie ma żadnego znaczenia. Powiadam ci, chłopysiu, na nasze cacka nie można pchać się z byle widłami. Podobno kozacy mają dobre konie, chciałbym po-

patrzyć, jak te szkapę będą wyglądać, kiedy pokażą się nasze czołgi!

Batwan, pomyślał Richter, on myśli, że Rosjanie nie mają czołgów. No, a Kuźnieck — to od parady? Zda się, że niedoceniamy przeciwnika. Co oznacza ta „półpokojowa penetracja“? A mówić nic nie wolno, bo zaraz powiedzą, że szerzę defetyzm. Zresztą, po co ich straszyć, jeśli już jest wojna, to trzeba zwyciężyć, wtedy wszystko się skończy. Boże, niechby już prędzej przyszedł koniec!... Hilda powiedziała: „Będę czekać i rok, i dwa...“ Kto się dowie, co ma kobieta w sercu?... Powinniśmy ich pobić — mamy lepszą organizację i więcej dynamizmu. Takiego Karalucha nie powstrzyma, lezie naprzód, bo o niczym nie myśli; można go zabić, ale przekonać nie sposób; na tym polega nasza siła. Nie ma dwóch zdań, że zwyciężymy. Tylko, że nie wszyscy wrócą z tej Rosji... Führer, oczywiście, wszystko wziął pod uwagę. Polska, Francja, Norwegia, Termopile — ten człowiek zna się na wojaczce... Będzie marnie, jeżeli nie damy sobie z nimi rady do zimy. O zima rosyjska — to prawdziwe świństwo. Nie bywałem tam zimą, ale ciarki mnie przechodziły, kiedy mi zaczęli opowiadać o tych swoich mrozach...

— Richter, chcesz rumu? To ja majka — z Bordeaux.

Richter wypił duszkiem pół kubka.

— Ma ładny zapach, ale głowa od niego boli. Rosyjska wódka — to coś innego, cuchnie wprawdzie, ale co to za wspaniała mikstura! Można wypić dwa takie kubki, a rano człowiek się budzi rześki, jak niemowlę.

— Piłem raz wódkę w rosyjskiej restauracji na Motzstrasse.

Richter uśmiechnął się:

— Każda rzecz jest dobra na swoim miejscu, ja piłem wódkę na Syberii.

Urosł odrazu w ich oczach — wszyscy spojrzeli na niego z szcunkiem, nawet weterani wyprawy francuskiej. Któż nie zna Francji!... A Klepper zapytał:

— Sądzi, że oni będą się bronić?

— Tego nie wiem. Im dłużej ich się obserwuje, tym trudniej cokolwiek zrozumieć. Ci ludzie są pozbawieni organizacji psychicznej. Kiedy piją tę wódkę, to zżymają się, stękają, klną, myślałbyś, że im ktoś każe lykac chininę. A widziałem znów, jak rosyjskie dziewczęta układały cegły; powiadam wam — dzika scena, palce we krwi, starte paznokcie, a te dziewczyny śmieją się, jak na weselu. Łam sobie głowę jak chęć — Rosjan zrozumieć nie można w żaden sposób. Tak, czy inaczej — skąd im do naszej organizacji, rozbiemy ich, to jasne jak dzień. Po co się bawić w zagadki — czy będą się bronić, czy może nie, to ich sprawa, i w jednym i w drugim wypadku będziemy w Moskwie i daję ci słowo, że z dużą przyjemnością zjem cały funt kawioru.

— Czy tym smaruje się chleb? — zapytał Karaluch.

— W Berlinie się smaruje, a w Moskwie je się łyżką.

— Chyba się mylisz, wiem, że tym się smaruje chleb, jak masłem.

— Niedługo zobaczycie sami — będę wsuwał kawior łyżką.

— A jakie tam kobiety? Czy brzydsze od Polek?

— Rozmaite. Wybór niegorszy. Karaluch nastroszył wasy:

— Pierwszą kobietę pomagam w Moskwie w dzień moich urodzin!

— A kiedy są pańskie urodziny? — pośpiesznie spytał Klepper.

— W sierpniu, ósmego.

Klepper obrachował — to czterdzieściosiem dni. Ładna historia!

Frajter zapytał:

— Skąd pewność, że ta muzyka skończy się na ósmego sierpnia?

— Jestem przekonany. Ze kawior je się łyżką — w to nie uwierzę, a w Moskwie będziemy ósmego sierpnia; chcesz, to się założymy — o pierwszą moskiewską ślicznotkę. Sam policz — trzydzieści kilometrów dziennie, to niewiele, z dziesięć dni na przegrupowanie, podciąganie taborów... Rozkład jazdy przestudiowałem jak się należy...

Na uboczu siedział Klitsche, młody dragal w okularach, student filozofii. Koledzy go unikali: krepował ich zarówno swoją małowartością, jak niezrozumiałymi replikami. Gdy inni pili, flirtowali i opowiadali sobie pieprzne dowcipy, Klitsche zazwyczaj coś pisał w grubym brulionie, bądź też śleczął nad książką. Człowiek ten nigdy się nie uśmiechał. Do Karalucha i kolegów z kompanii miał stosunek pogardliwy, jedynie z Richtermem rozmawiał niekiedy o wojnie, o Nitschem, o architekturze egipskiej. Klitsche odczytał brulion i powiedział: — Idziemy do Moskwy nie na dziewczynki. Rozumiecie, co powiedział führer? Każdy z nas ma teraz jedną tylko narzeczoną... Zaciął się — i po tym krzyknął: Śmierć!

Klepper ziewnął frasośliwie, z psim skowytem. Karaluch zawarczał: Wolałbym, żeby ta twoja narzeczoną całowała się z Rosjanami...

Krótką noc dogorywała. Niebo, które i dotąd raczej drzemało niż spało, zaczęło różniewać, ożywać. Ot, tam, za tym strumykiem — zaczyna się wojna, pomyślał Richter. I leż to książek o niej napisano i — mimo to — nie zrozumieć nie można. Tak samo — z miłością — piszą ci — i piszą a potem — zjawia się taka Hilda, córka szanowanego handlowca, zna angielski, gra na fortepianie, jednym słowem — prawdziwa panna, z dobrego domu — i naraz wszystko okazuje się potworną grą, jakbyś jechał w płonącym czołgu. Za rzeczką widać takie same pola, tak samo gładzą kury, baby noszą wiadra, jasnowłose dzieci cisną się do dział. Za czterdzieści minut, wszystko się zacznie...

Richter chciał doszukać się w sobie świadomości historycznej wagi tych godzin. — Jestem uczestnikiem wielkich wydarzeń, prawnikowie będą o mnie czytać. Myśli jednak nie trzymały się kupy; to widział rozbebeszoną sypialnię Hildy, to znów — ogromne, zielone przestrzenie. Kręciło mu się w głowie.

— Ten rum to trucizna!

Klepper odpowiedział:

— A ja wypilem cały kubek i jakby nigdy nie!... Zaczyna lura, w sam raz dla prawdziwego żołnierza! Skosztuję w Moskwie twej zachwalanej wódki, ale najpierw pokaż Rosjanom, co to są diabły gacie!...

— Wolnego, pętaku, to nie zabawa w kregle, tylko wojna! — Karaluch przypomniał sobie, jak pod Beauvais był zabity taki sam smar-kacz.

Inni rozprawiali beztrudno i głośno — ci o kobietach, tamci drużdy o Moskwie. Owi — po prostu chcieli się wykrzyknąć: już świta, dosyć się martwić, dalej w drogę!

Klitsche znów odszedł na bok i otworzył brulion. Na tle błaknącego nieboskłonu zielona rakietka wyglądała wątle i jakoś żałośnie. Richter przypomniał sobie oczy Hildy i zaczął ją śledzić.

Koguty wiejskie nawoływały się od futoru do futoru.

Karaluch krzyknął donośnie:

— Ein, zwei!

ILIA ERENBURG

DEMOKRATYCZNY  
SAVOIR VIVRE  
W ODCINKACH  
opracował: Jan Kamiński

ODCINEK XXIV

BON TON W BIURZE

Urzędnicy i Klienci (ciąg dalszy)

Kłopotliwym zawsze problemem pozostaje — czy przy okazji załatwiania sprawy urzędowej obowiązują też zasady wzajemnej prezentacji. Otóż zależy to przede wszystkim od stopnia ważności sprawy, którą załatwiamy. Sprawy bowiem „seryjne“ jak płacenia podatków przy okienku, lub składanie w protokole podawczym druków z prośbą o założenie telefonu — obywateli się szczeniście bez wszelkich towarzyskich komplikacji. Natomiast sprawa otrzymania w banku półmilionowej pożyczki długoterminowej wymaga oczywiście „audyencji“ u dyrektora, połączonej z prezentacją i wzajemnym częstowaniem papierosami. Inicjatywa winna wyjść od klienta („pan dyrektor pozwoli że się przedstawię“), dygnitarz natomiast winien powstać na przywitanie klienta i potraktować go systemem towarzyskim.

Czy urzędnik, który jest przedstawicielem i duszą biurokracji, czyli dziedzicem absolutnie obcej sprawom życia wytwornego — może być mimo wszystko gentlemanem? — Oto jest pytanie. A odpowiedź: owszem, może. Pod warunkiem, że w swej zmechanizowanej jaźni dopuści do głosu również nieco ludzkiej instynktów. Bo jeśli np. załatwienie sprawy klienta wymaga wg. wszelkich biurowych kanonów trzech dni czasu, a klient dziś właśnie wyjeżdża do Kudowy na wczasy autobusem 14,30 — urzędnik może zejść na chwilę z biurowych Okopów Św. Trójcy i — jak to mówią — pójść klientowi na rękę, którym to postępek wymaga od razu 100% gentelmenerii. Wzmacnia to ów wczasowicz, po powrocie z Kudowy, załatwi naszemu urzędnikowi świadectwo przemysłowe w tak krótkim terminie, że urzędnik ów będzie mógł na tej podstawie założyć ognisko rodzinne jeszcze przed Adwentem. Pamiętajcie bowiem, urzędniku, że w każdej chwili możecie zostać klientem! — Oto dewiza, która regulować winna stosunek twój do interesantów.

Ciąg dalszy za tydzień

MICHAŁ F. w Legnicy. W trio spacerowym złożonym z matki, córki i kawalera — matka idzie w środku, kawaler po jej lewej stronie, a córka po prawej. W trio złożonym z panienki i 2 kawalerów — w środku kroczy panienka. W kwartecie złożonym z matki, córki, narzeczonego i gościa — kroczą (od lewej do prawej): narzeczoną, córkę, matkę, gość. Na wąskim chodniku narzeczeni idą razem, a gość taszczy mamusię.

JULITA K. w Warszawie: Nawet otrzymane prezenty nie zobowiązują koniecznie do urządzania imienia — najwyżej do rewanżu w dniu imienia ofiarodawcy. A jeśli pani już urządziła — trzeba gości zaproszać najmnij na 3-4 dni naprzód (wczelniej im ugoszczonych przyjąć) telefonicznie, listownie lub osobiście, przy czym osoby starsze lub czelgodne — tylko osobiście.

AGATA z Zabrza. Odpowiadamy cierpliwie na wszystkie pytania. 1) Jedzenie lodów na ulicy jest drobnym, ale dopuszczalnym odstępstwem od bon-tonu, przy czym wskazany jest zatrzymać się w tym celu przy kiosku i zjeść lodę — stojąc. Jedzenie bowiem lodów w marszu, przy czym lody ciekną po brodzie i kapią na ubranie — nie jest widokiem estetycznym. Owoce można podrywać, siedząc w parku na ławeczce — na ulicy lepiej tego nie robić by, poza wszystkim innym, nie rzucić ogryzków pod nogi przechodniom. 2) Niech Pani w tym wypadku lekko pochyla głowę. 3) „Pozostaje z szacunkiem“ kończy listy urzędowe, listy nieurzędowe kończy z powodzeniem „Całuję w brodkę“.



# ARRASY, SZCZERBIEC i PENICYLINA

**R**ok 1939. — Wojna. Atak niemiecki na Polskę robi nieprzewidziane szybkie postępy. Rząd ucieka w kierunku na Rumunię. Również na Rumunię ewakuowane są co najcenniejsze zabytki muzealne. Tą drogą, po licznych tarapatkach, dostają się do Francji.

Rok 1940. — Wojska niemieckie zajmują Paryż. Rząd emigracyjny ewakuuje zabytki polskie do Kanady i deponuje je w skarbcach tamtejszych klasztorów i banków.

Rok 1944. — Lotnicy kanadyjscy, przeprowadzając zrzuć dla powstańczej Warszawy, zostają strąceni przez artylerię przeciwlotniczą niemiecką i giną.

Rok 1945. — Poseł Fiderkiewicz, przedstawiciel R. P. w Kanadzie, domaga się wydania Polsce jej obiektów muzealnych. Okazuje się, iż część zabytków, a w tej liczbie niezmiernie cenne arrasy, znikła bez śladu. Wykradli je z jednego z klasztorów umyślni agenci rządu londyńskiego. Rozpoczyna się pościg za rabusiami umykającymi z łupem.

Rok 1946. — Polsce potrzebne są lekarstwa, zboże i żywność. Kanada jest pierwszym państwem, które spieszy nam z pomocą. Pierwsza penicylina przywieziona zostaje do Polski właśnie przez kanadyjskich lotników. Wiezie ją wielki samolot wojskowy, kierowany przez ekipę złożoną z oficerów: Roche'a, Caldwell'a, Harlinga, Webstera i sierżanta murzyna Phillipsa. Ta pierwsza ekspedycja kończy się jednak tragicznie. Wszyscy lotnicy giną, a samolot ulega rozbiciu. Wobec tego na specjalny rozkaz marszałka lotnictwa, Roberta Leckie, wyrusza nowa ekspedycja i penicylina zostaje dostawiona do Warszawy. — Pomoc, której Kanada udzieliła Polsce do dnia 1 maja 1947 r., równa się sumie 5 milionów dolarów.

Rok 1947. — Starania posła Fiderkiewicza oraz rządu kanadyjskiego zostają uwieńczone powodzeniem. Zabytki polskie odnajdują się i rząd kanadyjski przekazuje je prawowitym właścicielom. W kufrze schowanym w skarbcu Banku Kanadyjskiego znalazły się: Szczerebiec Chrorego, jeden z najstarszych zabytków piśmiennictwa polskiego tzw. „Kazania Świętokrzyskie”, a dalej — rękopisy Cho-

Szczerebiec Chrorego był najcenniejszym z zabytków, ukrytych w banku



Pieczęć z kufra zawierającego wywiezione z Polski obiekty muzealne; trzyma poseł R. P., dr Fiderkiewicz



Wdowy po pilotach kanadyjskich, którzy zginęli wioząc do Polski penicylinę, udekorowane zostały polskimi odznaczeniami. Siedzą od lewej: mrs Roche z córeczką, mrs Phillips (murzynka), mrs Caldwell, mrs Harling i mrs Webster. W środku stoi premier Kanady, Sir Mackenzie King. Drugi od prawej, to minister spr. wewn. Kanady — C. Gibbson, przyjaciel Polski

Po lewej: Poseł Fiderkiewicz został zaproszony do jednego z klubów w Ottawie, którego członkowie zebrali 16 000 dolarów na rozbudowę szpitalnictwa w Polsce



Tak wyglądają drzwi skarbcza Banku Kanadyjskiego, za którymi przechowywane były podczas wojny najcenniejsze polskie zabytki muzealne

pina, historyczne buławy hetmańskie, oraz wiele innych pamiątek. Również odnalezione zostały arrasy, które już wkrótce wrócą do Polski i z powrotem zdobić będą Wawel.

Obecnie stosunki polsko-kanadyjskie rozwijają się z załazką rewindykacji kulturalnych i humanitarnej pomocy, w normalne stosunki polityczno-gospodarcze między dwoma państwami. Wymownym przejawem tego jest fakt, że jeszcze

przed arrasami i Szczerebce przybył do Polski pierwszy poseł Kanady akredytowany przy Prezydencie R. P. — chargé d'affaires Kenneth Porter Kirkwood.

Tak to zgoda romantyczna historia spraw polsko-kanadyjskich w latach 1939—1947, znalazła swe normalne zakończenie.

**KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI**  
Materiałów dostarczył J. Złotnicki



22 lipca, w dniu Święta Narodowego, odbyła się w Montrealu wielka manifestacja Polonii Kanadyjskiej.



# STEFANIA GRODZIŃSKA

## WAZON

Od Cioci Heli

FELIETONOWELA

**STRESZCZENIE POPRZED-  
NICH ODCINKÓW:** Macłupscy  
oczekują przyjazdu cioci Heli,  
u której załatwił się wypożyczyć  
japoński wazon, który od  
niej otrzymał, ofiarował Pich-  
cikowski. W obawie, że ciocia  
Hela się obrazi, postanawiają  
za wszelką cenę odebrać wa-  
zon od Pichcikowskich. W tym  
celu opowiadają im zmyśloną  
historię o kolekcjonerze wazo-  
nów, który jakoby przyjechał  
z zagranicy i poszukuje właśnie  
tego japońskiego wazonu. Pich-  
cikowski wazon zwraca, ale  
potem interpretuje historię  
Macłupskich na swój sposób.  
Tymczasem odzyskany wazon  
znika w tajemniczy sposób z  
mieszkania Macłupskich. Płot-  
ka na temat wazonu szaleje.

Dziennikarz Niecierpiak po-  
dłubał ołówkiem w ucho, po  
czym obejrzał ołówek i położył  
go na stole redakcyjnym. Na-  
stępnie włożył palec do nosa,  
ale nie zdążył podłubać, gdyż  
właśnie w tej chwili zadzwonił  
telefon. Dziennikarz Niecierpiak  
niechętnie wyjął palec z nosa  
i podniósł słuchawkę.

— Halo. A, jak się macie, ko-  
lego. Co? Nie wiem. Właśnie  
myślałem. Jaki pomysł? Żeby coś  
dać o tym wazonie? Hm. Ze  
tyle się o tym gada, a jeszcze  
nikt nie napisał. Kto wie. Mo-  
żna by zapchać tym wazonem  
parę dziur. Dobra. Zrobimy z te-  
go bombę, poprowadzimy to  
przez tydzień. Dziś zaczniemy  
od wzmianki, jutro pokwituje-  
my w komentarzu, pojutrze da-  
my czołówkę, potem felieton,  
potem list do czytelnika i bę-  
dziemy to wklejać za włosy, jak  
długo się da. No, dobra. Wzmian-  
ka? Głupstwo. Na poczekaniu.

Dziennikarz Niecierpiak prze-  
łożył słuchawkę do lewego u-  
cha, przytrzymał ją ramieniem  
i pisał wzmiankę, czytając ją  
jednocześnie na głos.

— Halo, kolego! Słuchacie?  
Więc na przykład: „Jak się do-  
wiadujemy u ob. Macłupskich,  
zamieszkałych przy ul. Ra-  
szyńskiej 3-a wydarzył się wy-  
padek zniknięcia wazonu z ja-  
pońskiej porcelany. Na uwagę  
zasługuje fakt, że wazon jest  
specjalnie poszukiwany przez  
kolekcjonera, przybyłego w tym  
celu z zagranicy”. Co? Dobra.  
No, na razie.

Ncierpiak odłożył słuchawkę,  
przepisał wzmiankę na  
maszynę, zaopatrzył ją pod-  
pisem „Niecierpiak” i zabrał się  
do przeglądania stosu prasy, na-  
szykowanej na stole. Przeglą-  
dając kilka pierwszych pism,  
dziennikarz Niecierpiak chwycił  
słuchawkę i z wściekłością na-  
kreślił numer.

— Kolego? Dobry pomysł mie-  
liście z tym wazonem, tylko  
niech was zląg trafi. Szkoda, że  
nie macie jeszcze dzisiejszej  
prasy. Co? Czy ktoś już napisał?  
Ktoś! Macie chwilę czasu?  
No, to słuchajcie po kolei. „Zy-  
cie Warszawy”. Tytuł: „Odbu-  
dowa stolicy postępuje wielkimi  
krokami”. „Jak się dowiaduje-  
jemy, u ob. Macłupskich, za-  
mieszkałych w wspaniałym od-  
budowanym przez S.P.B. domu,  
przy ul. Raszyńskiej 3-a wyda-  
rzył się wypadek zniknięcia  
wazonu. Na uwagę zasługuje  
fakt, że wazon jest specjalnie  
poszukiwany przez kolekcjo-  
nera, przybyłego w tym celu z za-  
granic. Przybyły złożył przed-  
stawicielowi naszego pisma o-  
świadczenie, iż wzruszony jest  
niesłychanym tempem odbudo-  
wy naszej stolicy”. Następnie.  
„Rzeczpospolita”. Tytuł: „U-  
waga na granice celne”. „Czu-  
jemy się w obowiązku zasyna-  
lizować Zarządowi Centrali Prze-  
mysłu Ceramicznego fakt na-  
jazdu agentów obcego kapitału,  
pragnącego wykupić najcen-  
niejszą okazy naszej ceramiki  
artystycznej”. Jak się dowia-  
dujemy, u ob. Macłupskich, za-  
m. przy ul. Raszyńskiej 3-a wyda-  
rzył się wypadek zniknięcia wa-  
zonu z japońskiej porcelany. Na  
uwagę zasługuje fakt, że wazon  
jest specjalnie poszukiwany

przez kolekcjonera, przybyłego  
w tym celu z zagranicy”. Na-  
stępnie. „Wieczór”. Tytuł: „Zem-  
sta płomiennego Anglika”. „Jak  
się dowiadujemy, u ob. Ma-  
ciupskich, zam. przy ul. Ra-  
szyńskiej 3-a wydarzył się wy-  
padek zniknięcia wazonu z ja-  
pońskiej porcelany. Na uwagę  
zasługuje fakt, że wazon jest  
specjalnie poszukiwany przez  
kolekcjonera, przybyłego w tym  
celu z zagranicy. Na wazonie  
ma być kompromitujący por-  
tret znanej w sferach towarzy-  
skich Londynu Lady X, żony  
zmarłego niedawno lorda X.  
Jeden z najcenniejszych malarzy  
Wielkiej Brytanii wymalował  
piękną córkę Albionu w perwer-  
syjnej pozie, pragnąc w ten spo-  
sób zemścić się na niewiernej  
kochance”. Następnie. „Robot-  
nik”. Tytuł: „Co na to tow.  
prof. Lorenz?”. „Podczas, gdy  
dział porcelany w Muzeum Na-

rodowym nie został dotąd udo-  
stępiony szerokim masom, nie-  
dobiłki polskiej burżuazji kryją  
zazdrośnie w szafach swoich  
mieszczańskich salonów cenne  
dzieła sztuki. Jak się dowia-  
dujemy, u ob. Macłupskich, zam.  
przy ul. Raszyńskiej 3-a wyda-  
rzył się wypadek zniknięcia wa-  
zonu z japońskiej porcelany. Na  
uwagę zasługuje fakt, że wazon  
jest specjalnie poszukiwany  
przez kolekcjonera przybyłego  
w tym celu z zagranicy. Wola-  
my o udostępnienie kultury lu-  
dziejom pracy”. „Macie jeszcze  
sily słuchać, kolego? No to na-  
stępnie. „Express Wieczorny”.  
Tytuł: „Tajemniczy wypadek u  
ob. Macłupskich”. Tytuł drugi:  
„Zniknięcie wazonu”. Tytuł  
trzeci: „Japońska porcelana?”.  
Tytuł czwarty: „Wazon jest  
specjalnie poszukiwany”. Tytuł  
piąty: „Kolekcjoner z zagrani-  
cy”. „Jak się dowiadujemy, u

ob. Macłupskich, zamieszkałych  
przy ul. Zabkowskiej 12 wydarzył  
się śmiertelny wypadek. Tytuł  
specjalnie poszukiwany przez  
kolekcjonera przybyłego wazo-  
nu z japońskiej porcelany. Na  
uwagę zasługuje fakt, że wazon  
z zagranicy”. Następnie. „Głos  
Ludu”. Tytuł: „Spekulanci ha-  
mują przemysłowy wyścig pra-  
cy”. „Jak się dowiadujemy, u  
ob. Macłupskich, zam. przy ul.  
Raszyńskiej 3-a wydarzył się wy-  
padek zniknięcia wazonu z ja-  
pońskiej porcelany. Na uwagę  
zasługuje fakt, że wazon jest  
specjalnie poszukiwany przez  
kolekcjonera, przybyłego w tym  
celu z zagranicy. Cenne zezna-  
nia złożyła sąsiadka Macłup-  
skich, tow. Klukowa (dzielnica  
Ochota). Uwaga od redakcji:  
Plan trzyletni odbudowy kraju  
przewiduje produkcję podob-  
nych wazonów systemem taśmo-  
wym już w roku 1948”. Nastę-

ne. „Gazeta Ludowa”. Tytuł  
pierwszy: „Anglosasi ratują nasz  
bilans handlowy”. Tytuł drugi:  
„Przed wojną nie ginęły wazo-  
ny”. „Jak się dowiadujemy, u  
ob. Macłupskich, zam. przy ul.  
Raszyńskiej 3-a wydarzył się  
wypadek zniknięcia wazonu z  
japońskiej porcelany. Na uwagę  
zasługuje fakt, że wazon jest  
specjalnie poszukiwany przez  
kolekcjonera, przybyłego w tym  
celu z zagranicy”. I ostatnie.  
„Przekrój”. Zdjęcie kurpiow-  
skiego wazonu... Podpis pod  
zdjęciem: „W Warszawie znika  
wazon z japońskiej porcelany.  
Wazon, reprodukowany na lewo,  
nie ma nic wspólnego z omawia-  
nym wazonem, tym nie mniej  
stanowi on piękny eksponat z  
wystawy przemysłu kurpiow-  
skiego w Zatrzebiu Górnym.  
Fot. R. Burzyński”. Tyle dzi-  
siejsza prasa. I co wy na to?

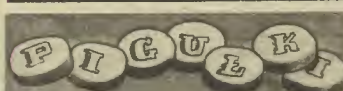
DALSZY CIĄG ZA TYDZIEŃ



(Kamyczek)

— Nie trudź się już, Hi-  
policie — znalazłam za-  
palki!

ROK I Łódź, 17 sierpnia br. NR 9



ORGAN JANUSZA MINKIEWICZA

### DLACZEGO WRÓCIŁEM Z SOPOTU DO ŁÓDZI

Z początku niczego nie przeczuwałem  
i nawet u samego wejścia do „Grand  
Hotelu” poczułem się trochę odmłodzo-  
ny. Odmłodzony o cztery lub pięć lat.  
Jak gdybyśmy się znaleźli znów w 1942-gim  
roku.

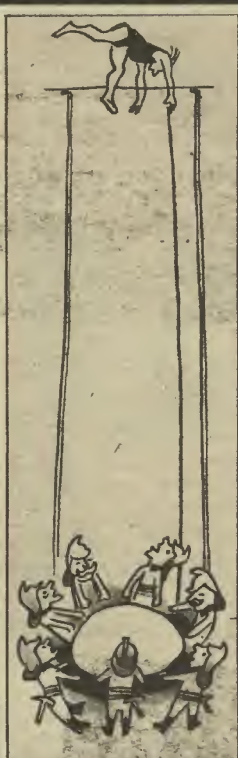
Portier, gdy go spytałem o wolny po-  
kój, wykrzyknął podejrziwie:

— Pan Polak?  
— Polak — bąknąłem, czując, że to źle.  
— Polakom nie wynajmujemy. Tylko  
cudzoziemcom — zakończył szybko por-  
tier i zgłębł się w ukłonie, bo właśnie  
obokajowiec zagadnął go po niemiecku.

Rozmawiając o „nur für” i „herren-  
volku” rozglądałem się po hallu i nie  
zdziwiłem się już wcale widokiem naj-  
okazalej rozpartej w fotelach pary.  
Równie rozparte i okazałe prezentowa-  
ła się ta para (pamiętam) w knajpach  
warszawskich przed pięć laty. W to-  
warzystwie umundurowanych lub cy-  
wilnych Niemców. Nasza para spędzała  
czas wesoło i bez troski, ubijając coraz  
to nowe interesy. Nawet się trochę  
wzruszyłem ujrawszy tych dwoje. By-  
łem pewien, że dawno już zawiśli na  
stryczku, a tu tymczasem siedzą sobie  
jak za niedawnych dobrych czasów,  
może tylko nieco przytyli i jeszcze le-  
piej ubrani. Ba, herrenvolku.

W obszernej restauracji pilnie uwa-  
żałem, aby nie uisnąć przy oknie z wi-  
dokiem na morze. Pamiętam, przeleżę,  
że w Zakopanem stoliki z widokiem na  
góry były dozwolone „nur für...”. Za-  
płaciwszy 140 zł za szklankę herbaty  
i 360 zł za plasterkę zeschłej szynki (wa-  
żące 3-4 deka), wdałem się w rozmowę  
z pikolakiem hotelowym.

— Ile, tak przecie, zarabiasz?  
— Jak dobrze pójdziesz, to i trzy ty-  
sięce się zbiera za dobe.  
— A co robi twój ojciec?  
— Na kolei pracuje.  
— Ile tam zarabiał?  
— Koło trzech tysięcy.



— Miesiecznie?  
— Miesięcznie.

Władający dziś wybrzeżem min. E.  
Kwiatkowski już przed wojną napisał  
książkę pt. „Dysproporcje”...

Pokój w końcu dostałem dzięki pro-  
tekcji zaprzyjaźnionego ze mną przed  
wojną dyr. Napierały. Opłata za ten  
najtańszy w hotelu i bez widoku na  
morze pokój wynosiła dziennie tyle, ile  
wynosi trzymiesięczne komorne za moje  
lüksowe, trzypokojowe mieszkanie  
w Łodzi...

Wieczorem dancing o pojemności kil-  
ku tysięcy osób — przepełniony. Prze-  
ciętny, skromny rachunek przy stoliku,  
to miesięczny budżet rodziny urzędni-  
czej. Któż zaplenia te największe i naj-  
droższe w Polsce sale dancingowe? Tro-  
chę „herrenvolku” — cudzoziemców. Nieco  
urzędowo im towarzyszących Polaków.  
Trochę neo-sanacji. Nieco dyrektoro-  
wych od czekających przed bramą służ-  
bowych acz niedotartych „demokratek”  
firmy „Chevrolet”. Trochę przedsta-  
wicieli wolnych zawodów. Ale reszta —  
to złodzieje. Nie żadni wykwalifikowani  
kieszonkowcy czy uczeni szpenteledzia-  
rze, żadni tam uczeni wianołwacze, ale  
przypadkowe, tyle że milionowe, zło-  
dziejaski. Nie amatorzy prywatnych  
kieszek, ale państwowych kas.

Zdobyte w ten sposób pieniądze spry-  
niają utracie poczucia dysproporcji. Raz  
po raz podchodził do mnie jakiś pijana-  
wy złodziej z kiełbkiem i propozycją:  
— No, mistrzu, może jednego ze  
mną?...

„Mistrzu” nie lubię — słusznie  
pisał kiedyś Tuwim).

Z nadmiaru podobnych dyspropor-  
cji — rozchorowałem się. Mimo gorą-  
ci, postanowiłem wracać do domu.  
Sleepingiem. Ale sleeping dowiózł nas  
tylko do Tczewa. Tam oświadczone  
nam, że wagon się zepsuł i z całym  
beztroskim cynizmem wpakowano po-  
siadaczy bileatów spyalnionych do przepeł-  
nionego wagonu 3-iej klasy. W Łodzi  
wylądowałem napół żywy.

A no... „Voyager c'est mourir un peu”.



— Rachunek oddzielnie, proszę!



## MOTTO:

Nie wszystko leczy penicylina; cięższe przypadki u kobiet chorujących na suknię lub kapelusz (sukniśa pracox, capelusiśa progresiśa) można wyleczyć jedynie z pomocą specjalnych preparatów konfekcyjnych, produkowanych przez eleganckie Domy Mody. Ponieważ w tej porze roku kobiety nagminnie chorują na kostium — podajemy kilka sposobów złagodzenia tej społecznej kłeski.

Kobietę chorą na kostium letni (costiumitis epidemica) wyleczy jedynie model paryski f-my Robert Figuet (po prawej) zapięty z przodu na szereg guzików; układ deseni — poszczupiający

Manię prześladowczą na tle kostiumu sportowego (costiumitis vulgaris) leczy najskuteczniej skromny a szczykowny model f-my Irena, Hollywood (u dołu)



Chorobliwą tęsknotę za nowym wdziankiem spacerowym (melancholia ambulans) usmierza kostium ciemny z jasnymi wypustkami (po prawej) f-my londyńskiej „Model Gowns”



Organiczny brak sukni „do wyjścia” (atoaletosa acuta) mija przy zastosowaniu modelu f-my Irena, Hollywood (u góry) z lekkiej wełny, przybranego jedwabiem w kolorowe kropki

Damie chorej równocześnie na suknię wizyową i kostium popołudniowy (sukniśa complicata) pomoże jedynie model londyński f-my „Monbijou” (po lewej) z karczkiem lamowanym jasną plisą

## KONKURS DZIAŁU MODY

Nagrodę 1000 zł otrzymuje w bież. tygodniu  
p. MARIA ZYBER  
w Poznaniu.

Sukienka z kretonu z dużymi, nakładanymi kieszeniami, koltner i mankiety z białej pliki



„tygodnika  
„PRZEKROJ”

exp:  
K.J. Gatochynski

Szanowny Panie Redaktorze!

## GENIUSZE & RZEMIEŚNICY

Posel Władysław Bieńkowski w swojej krakowskiej pogadance mówił ostatnio o konieczności stworzenia klimatu dla rzetelnej twórczości literackiej drugiej klasy, tej drugiej klasy, w którą tak znakomicie zaopatrywane są społeczeństwa: francuskie, anglosaskie i radzieckie. Że znakomicie, to chyba nie ulega wątpliwości, skoro nasz rynek wydawniczy zaczyna się coraz gwałtowniej karmić przekładami. Otóż Władysław Bieńkowski mówił o klimacie, to sporo, ale mnie się wydaje, że należałoby mówić jaskrawiej: o szacunku. Czymże bo jest ta dobra drugoklasna twórczość literacka po stronie producenta? Rzetelnym rzemieślnikiem. A po stronie odbiorcy? Kulturalną rozrywką. Przez rozrywkę do kultury. Niestety, Panie Redaktorze, nasz klan panów literatów, gdzie (słuchajcie!) namuliło się najwięcej starszylacheckich nałogów (głos: tak!), nie ma, niestety, należytego zrozumienia dla rzetelnego rzemiosła, ani dla rozrywki człowieka pracy. Tak. I jeżeli, Panie Redaktorze, będę na ten przykład pisywał mętne, ale socjologicznie terminologią naszpikowane artykuły dla mojego psa z kulawą nóżką, to wtedy powiedzą w każdym razie, że jestem hołopublicysta, ale jeżeli natomiast zacznę dla rozrywki pożytecznych ludzi, np. tacierzy, układać krzyżówki, rebusy i szarady, to oczywiście o pomniku mowy nie ma, gorzej! zakrzykną (słuchajcie! słuchajcie!), że zabawiam drobnomieszczan. A grunt to nie zabawiać, tylko pisać nudno jak flaki z olejem, byle genialnie, z gymsem i z bigłem. W ostatnich konsekwencjach: dziwaczny w naszej kulturze prymat literatury (tej genialnej) ze szkodą dla innych bardziej rzemieślniczych środków wypowiedzi i środków kontaktu, wstręt do użyteczności, oraz kult dla rozmaitych objawień, natchnień i iluminacji. A opowiadał mi Jerzy Zaruba (a może Janusz Minkiewicz?), że, jak malarz Humbugowicz malował na klęczkach Pana Jezusa, to Pan Jezus objawił mu się i powiedział: — Słuchajcie, Humbugowicz, wy mnie nie malujcie na klęczkach, tylko dobrze mnie malujcie.

A dobrze to znaczy: rzetelnie i na termin.

Serwus!



## KĄCIK FILATELISTYCZNY



Na Węgrzech wydano reprodukcją serię z 10 znaczków wykonanych rotograwiurą z podobiznami bojowników o wolność.

# SPORT

**W KRAJU.** — Bielsko. W drugim dniu mistrzostw Polski w pływaniu, Kaletówna ustanowiła 2 nowe rekordy Polski w biegach na 100 i 200 m. stylem klasycznym: 1,35 i 3,21 min. W punktacji ogólnej mistrzostw prowadził Piast Gliwice 152 pkt. przed BHTS 144 pkt. Kraków. Na meczu piłkarskim Wisła-Skra (wygrała Wisła 9:1 (4:0)), na czoło strzelców krakowskich wysunął się Gracz, zdobywając podczas meczu 7, a w ogóle mając na swym koncie 26 bramek. Dalsze wyniki ekstraklasy: Cracovia-Orzeł 6:0; Polonia W-wa-Ognisko 13:1 (4:1); Polonia Bytom-Szombierki 1:0 (1:0); KKS Poznań-Motor 9:1 (3:1); AKS-Radomiak 2:1 (2:0); RUK-ZZZK 2:0 (1:0); Rymer-Pomorzanin 7:0 (1:0); Gedania-Grochów 8:0 (1:0); ŁKS-Czuwaj 3:0 (1:0); Lublinianka-RKS Olsztyn 1:0 (0:0); WKMS-PKS Szczecin 3:1 (2:0).

**ZA GRANICĄ.** Czechosłowacja. Piłkarze krakowskiej Wisły, bawiac na gościnnych występach w Pradze rozegrali kilka meczów, wychodząc z wszystkich zwycięsko. Wyniki: Wisła-Nusle 4:2 (1:1); Wisła-SK Skalny 4:0 (4:0) i Wisła-SK Teplice-Retenice 3:2 (2:0). — Turcja. Bob Fitch, znakomity lekkoatleta amerykański, znany w Polsce z występów w Katowicach, na zawodach w Istanbulu osiągnął w rzucie dyskiem wspaniały wynik 54,80 m. Wynik ten jest lepszy od oficjalnego rekordu świata.

## KAPLANI FUTBOLU

Historia futbolu rzadko kiedy notuje na swych kartach nazwy drużyn lub reprezentacji, wyróżniających się wybitną grą. Największe bowiem opanowanie techniki, taktyki i gry zespołowej nie może zastąpić — dla oka chociażby — brawury i błyskotliwości, na jaką zdobywa się tylko pojedynczy zawodnik. Niezwykła historia puszcza więc w niepamięć zbiorowe batalie, natomiast hubi w swej pamięci wielkie indywidualności, a pośród nich jeszcze ma osobliwą słabość do bramkarzy. Ci, których najczęściej znosi się wśród aplauzu z boiska, których szaleńcze rozbijanie się do miary heroicznych wyczynów — właśnie otaczani są często legendą, o jakiej na próżno marzą poeci. Nie umiałbym dziś wymienić bodaj nawet pięciu nazwisk sławnych przed wojną w świecie futbolistów, wyłączając z tego bramkarzy, bohaterów spotkań międzynarodowych, ratujących swą świątynię w najbardziej rozpaczliwych sytuacjach. Samotny fenomen Zamorra, a po nim sławni „internacjonalowie”: Planicka, Platzer, Olivieri, z Polaków: Loth, Pon-towicz, Albański, Madejski. — Najlepiej wyszkolony bramkarz może zaprzepaścić mecz, jeśli umiejętności technicznej nie zwiąże z ofiarnością i poświęceniem, godnych Leonidasów (tego ze Sparty i tego czarnego Brazylijczyka, co w Paryżu strzelał nam dośro-goale).



**Jednakowo dobre**  
OD ROKU **1910**  
**BUDYNIE PRZYPRAWY do CIAST ZUPY-BULION**

**STROJWAS**



— Byles podobno, Augustcie, wczoraj na zebraniu tych demokratów!  
— Tak, ale tylko dla podstępu. Jak Odyseusz.  
— A po co brales ze sobą Reaksia?  
— To jest mój pies trojański...

Najnowsze fasony kapeluszy damskich i męskich poleca F-ma  
**KAROLINA ORŁOWSKA**  
ŁÓDŹ, GŁÓWNA 9

**PASTA DO ZĘBÓW**  
**ENOOLA**  
LAB-CHEM · J. POROWSKI · WARSZAWA  
ŁÓDŹ · NAPIÓRKOWSKIEGO 24 · TEL. 177-00

**KOSMETYKI**  
KREMY  
PUDRY  
POMADKI  
TUSZ  
**scala**  
LABORATORIUM KOSMETYCZNE · WARSZAWA  
PRÓŻNA 14

Zęby, czysci, najlepiej  
**PASTA IDIENS**  
Warszawskiego Laboratorium Chemicznego Sp. Ak.  
Do nabycia we wszystkich większych perfumeriach i składach aptecznych

## Uporczywe zaparcie

kamienie żółciowe, choroby wątroby, żółtaczka i kłuszek, artretyzm, złą przemianę materii zwalczają

**ZIOŁA „CHOLEKINAZA”**  
H. Niemojewskiego

Sprzedaj w aptekach i skl. apt. Lab. Fizj.-Chem. „Cholekinaza” Warszawa, ul. Mokotowska 50.

REDAGUJE ZESPÓŁ  
WYDAWCA: SPÓŁDZ.  
WYD. „CZYTELNIK”

REDAKCJA: KRAKÓW, PILSUDSKIEGO 19a (GODZ. 12-14) TELEFON 559-54  
RED. WARSZAWSKA: DASZYŃSKIEGO 14, POK. 217 (GODZ. 13-15) TEL. 879-38  
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, WIELOPOLE 1. TELEFON 545-60, -61, -62

WŁOŻONO W Drukarni Narodowej w Krakowie

**CZYTELNIK**



# PUGACZEW W NETTUNO

Rzym, w lipcu 1947 r.

„Wydział prasowy LUX-FILM-u u-przejmnie prosi W. Pana o zaszczycenie swoją obecnością wycieczki do Biełogorska.

## Program dnia:

- godz. 9 wyjazd auto-pullmanem z piazza Colonna
- godz. 10.30 dojazd do wioski nadwot-żańskiej Biełogorsk,
- godz. 11 przyjęcie przez hetmana Pugaczewa i zwiedzanie
- godz. 13 śniadanie
- godz. 15 szarża kozaków i bitwa o Biełogorsk”.

Zaintrygowany zaproszeniem, sta-wiłem się nazajutrz punktualnie na piazza Colonna, gdzie oczekiwali na odjazd dziennikarze zagraniczni i fil-mowcy.

Niespodzianka wyjaśniła się dopiero po dojeździe do Anzio-Nettuno, miej-scowości upamiętnionej alianckim de-sansem z początku 1944 r. Zaledwie bo-wiem minęliśmy cmentarz wojskowy i wykroczyliśmy w stronę morza, gdy, jak spod ziemi wyrosła przed nami najprawdziwsza starorosyjska wioska, z rynkiem, cerkiewką i drewnianym cokołem.

Tu na obszernej, nadmorskiej równi-nie reżyser Mario Camerini realizuje powieść Puszkina „Córka Kapitana”. Rolę tytułową gra młodzistka Polka, Zosia Warchaławska, znana na zachódzie pod pseudonimem Irasema Di-lan. W miarę ponurym Pugaczewem jest wytrawny artysta włoski Amadeo Nazzari. Około tysiąca figurantów i sta-tystów zatrudnionych jest przy plene-rach. Gigantyczny ten film zapowiada się rzeczywiście wspaniale.

Bo producenci i reżyserzy włoscy nie próżnują. Dzięki zastrzykom kapitału amerykańskiego, ale przede wszystkim dzięki pracy włoskich filmowców, Ita-lia produkuje dziś trzy razy więcej filmów niż przed wojną, mimo zniszczeń studiów, urządzeń laboratoryj-nych i zarekwirowania głównego cen-trum filmowego pod Rzymem przez Anglosasów.

Przoduje największy koncern filmo-wy włoski LUX-FILM, który w latach 1945-46 wyprodukował czternaście stu-



„Nakręcanie „Córki Kapitana”

gometrażowych filmów muzycznych, dramatów, komedii itd. Jednym z naj-zabawniejszych jest „Wyjazd o 7-ej” (Partenza ore sette), ilustrujący przy-gody trupy wędrownych aktorów i śpiewaków, których autobus zatrzyma-ny zostaje przez bandę rzeźmieszków i ci wszystkich uczestników rozbierają i ograbowawszy puszczają prawie nago.

Obecnie LUX-FILM, po za „Córka Kapitana” kręci „Zbrodnię”, według powieści d’Annunzia.

Po większej części jednak filmy włoskie nie rozchodzą się jeszcze za granicę półwyspu. Mimo to jeden z największych włoskich reżyserów, twórca „Scypiona Afrykańskiego”, Carmine Gallone (żonaty z Polką) jest optymistą: „Praga się dziś nie liczy — mówi. — Znikło prawdopodobnie na długie lata największe centrum filmo-we w Europie, jakim był Berlin przed-wojenny. Na kontynencie pozostali Ro-sjanie, Francuzi i my. Wydaje mi się, że możemy śmiało z nimi konkurować”.

A tymczasem tłumy publiczności ob-legają od dwóch tygodni trzy najwspa-nialsze rzymskie kina, gdzie zachwycają się śliczną, znaną już w Polsce kolorową bajką „Flora di pietra” (Ka-mienny kwiat), produkcji sowieckiej.

W. Alexander

W Czechosłowacji propagowane są i dużą popularnością cieszą się kluby filmowe; zakładane nawet po najmniej-szych miastach. Każdy klub, liczący więcej niż 300 członków, ma prawo mieć swego reprezentanta, który przed-stawia centrali filmowej w Pradze de-zyderaty danego klubu. W ten sposób zorganizowani kinomani mogą wpły-wać na to, jakimi filmami obsłynie jest miasto, w którym zamieszkują.

Austriacka wytwórnia „Donau-Film” nakręca obecnie film pt. „Arlberg-express będzie miał dziś opóźnienie”, ze znanym sprzed wojny aktorem. Hansem Moserem w roli głównej. Tre-ścią filmu są powikłania w życiu wielu osób, spowodowane nie przyjeściem ekspresu na czas. Bowiem ze funkcjo-nowanie kolei jest do dziś jednym z największych uprzejm Austria

## U WRÓŻKI



...ale dopiero wtedy szczęście cię czeka — kiedy zaczniesz stosować kosmetyki „Florina”.



Weronike Lake pa-miętamy z tyle ckli-wego, ile nudnego filmu „Bohaterki Pa-cyfiku”. — Sądząc po tym filmie, aktor-ka owa nie jest żad-nym nadzwyczajnym zjawiskiem. Prasa a-merykańska, twier-dzi jednak, że młoda artystka jest rewela-cyjnym talentem i że wybił się wkrótce na czoło gwiazd filmo-wych USA. Po „Bo-haterkach Pacyfiku” nakręca już szereg nowych filmów, które zapewne dopłyną wkrótce do Polski. Wówczas będziemy mogli naocznie prze-konać się, ile w opinii prasy filmowej USA jest zjawstwa, a ile — dolarów, wpłaconych na reklamę gwiazdy

GWARANTOWANE

# LEPY na MUCHY

Prima AGO 1947



Kraków, Lubicz 42, tel. 545-50



NAJSŁYNIEJSZY PSY-CHOGRAFOLOG MARTYNI, darem jasnowidzenia nie-omylnie przepowie każde-mu jego wydarzenia zycio-we. Określi dokładnie cha-rakter, kierunek zdolności, rady, przeznaczenie. We-dług obliczeń kabalistyk, po-da szczęśliwy numer losu Lo-terii Klasowej. Napisać py-tania, datę urodzenia, zala-czyć 100.— zł zadatku. Odp-owiedź płatne za zaliczeniem

MARTYNI, KRAKÓW 18skrytka pocztowa 475

Janusz Meissner

WILK, RYS I DZIEWCZYNA

Jest w tej książce to wszystko, co może nam dać zapomnienie o szarzyźnie dnia codziennego — i stworzyć przyjemny nastrój w dniach urlopu!

Marika Stiernstedt

ZAMACH W PARYŻU

Powieść, którą się czyta z najwyższym zaintere-sowaniem, jednym tchem — przy tym powieść psychologiczna o niezwyklej mocy!

Agatha Christie

PUDELEK ZAPALEK

NOC W BIBLIOTECE

Powieści sensacyjne Agathy Christie mają już usłaloną światową sławę. Są to kapitalne po-wieści psychologiczne, w których wątek krymi-nalny pozwala autorce ukazać ludzi z wszyst-kiimi ich namiętnościami.

ZADAC WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH „A W I R”

# Wyroby niedosięgniętej jakości



## HENRYK ŻAK

Fabryka perfum, kosmetyków i mydeł toaletowych — POZNAŃ



puder  
**SNIEG TATRZAŃSKI**  
UPIEKSHA  
UDELIKATNIA  
I CHRONI CERE  
**FALKIEWICZ-POZNAŃ**



